LUTY 1931

NASZA
PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA TRYBUNA ZACHOWAWCZEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

TOM VIII

WYDAWCA i REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, LIPOWA 4a, TEL. 610-36.

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1. Tel. 649-04

TREŚĆ:

NAJWIĘKSZA ZDOBYCZ XX WIEKU.

Winienem na tem miejscu wyrazić wdzięczność jednemu z bardzo cennych współautorów naszego pisma, p. Stanisławowi Meyerowi, który w artykule p. t. „Duch współczesnego przełomu“, zamieszczonym w V-ym tomie (listopad 1930), zreasumował istotę tego otrzeźwiającego prądu, jaki wieje dziś mniej lub więcej w całym cywilizowanym świecie, krusząc wszelakie wybujałości, jałowe hasła i absurda przestarzałej doktryny demokratycznej i radykalnej wszelkich odcieni, a wprowadzając na ich miejsce stopniowo pojęcia racjonalne, trzeźwe, objektywne, zgodne z realnymi postulatami życia i t. zw. zdrowego rozsądku.

Prąd ten, z dniem każdym widoczniejszy, a zrodzony na gorżkich doświadczeniach, jakie przyniosły najszerszym masom wieloletnie eksperymenty bezkrytycznego demokratycznego egalitaryzmu i radykalizmu, pozwoliłem sobie swego czasu ochrzcić nazwą „objektywizmu“ gospodarczego lub politycznego — zależnie od sfery jego oddziaływania.

Prąd ten staje się już tak powszechnym, tak wyraźnym i akcentuje się tak dalece w różnych wysiłkach reformistycznych i reorganizacyjnych w świecie cywilizowanym, że uważam obecnie już za wskazane poświęcić i z mej strony parę słów tej sprawie i to tembardziej, że mogę je wypowiedzieć w przeświadczeniu, iż spory już zastęp poważnych ludzi, badających ewolucję stosunków — z politycznego lub gospodarczego punktu widzenia — podziela moje zdanie w tym względzie.

W czasach odległych, mniej oświeconych w porównaniu z dzisiejszą dobą, pełnych przesądów, starożytnych form bytu, zakostniałych, bezkrytycznych doktryn filozo-

ficznych, prawnych, przyrodniczych i społecznych, w czasach niewolnictwa, ustroju stanowego, przywilejów klasowych, scholastycyzmu, wiary w gusła i czary oraz dziecinnie brzmiących dzisiaj zapatrywań na ludzkość i przyrodę, albo też wśród prymitywniejszych, kulturalnie zacofanych ludów doby obecnej, trzeźwy, objektywny, oświecony sąd w jakimkolwiek kierunku był i jest rzeczą niemożliwą. Ogranicza go, hamuje, przyćmiewa lub wprost wypacza gęsta mgła nieświadomości, braku doświadczenia, przesądów, staroświeckich, zakostniałych zwyczajów, wierzeń i autorytetów, poza które nikt wyjść się nie ośmiela.

Gdy np. jezuita-astronom Scheiner odkrył plamy na słońcu i zwrócił się z tem do superiora zakonu, otrzymał nazajutrz typową na owe czasy odpowiedź:

— Uspokój się, żadnych plam niema na słońcu, które jest tarczą świetlistą niepokalaną. Całą noc spędziłem wczoraj nad Arystotelesem i żadnej w nim wzmianki o plamach słonecznych nie znalazłem.

A więc czcigodny superior szukał w nocy plam na słońcu! Oto charakterystyczny przykład ślepej wiary w przestarzałe autorytety oraz metody myślenia i działania pod wpływem pewnych uprzedzeń, doktryn i przesądów!

Wprawdzie ludzkość zrobiła od tego czasu z każdym wiekiem coraz większe postępy, odrzucając coraz bardziej więzy, krępujące zdrowy, objektywny pogląd na wszelkie sprawy, ale aż do ostatnich czasów pozostawała — a w znacznej części pozostaje jeszcze — pod ich wpływem i to tak dalece, że nawet zdając sobie nieraz sprawę z nonsensów politycznych, społecznych i gospodarczych, trzyma się ich jednak mimowoli siłą inercji czy przyzwyczajenia.

Dlaczego? Bo swobodny, prawdziwie objektywny sąd o rzeczach, wolny od doktryn i uprzedzeń, może być tylko rezultatem bardzo wysokiej kultury. Rzecz to na pozór dziwna, ale prawdziwa, że,

aby nazwać stanowczo, bez wahań, fałszu lub zastrzeżeń to, co jest czarne, czarnem, a co jest białe, białem — trzeba na to bardzo wysokiego stopnia cywilizacji. Trzeba rozprószenia owej mgły, zaciemniającej ludziom na niższych stopniach cywilizacji horyzont widzenia, trzeba oświecenia jasnym promieniem zdrowego rozsądku danej kwestji, czy danego przedmiotu.

Otóż ani epoka renesansu, ani niezakończona dziś jeszcze całkowicie epoka demokratycznego postępu, nie były w stanie podnieść doświadczenia i cywilizacji na taki stopień, którýby umożliwiął w całej pełni formowanie pojęć prawdziwie trzeźwych, realnych, objektywnych. Wiele zrobiono wprawdzie w tym kierunku, wiele zburzono przesądów i staroświeckich urządzeń, ale w dążeniu tem nie umiano jeszcze uchwycić średniej, złotej drogi zdrowego rozsądku, przerzucając się z reguły z jednej ostateczności w drugą. Bo cóż np. zrobiła demokracja? Zburzyła dawny ustrój stanowy z arystokracją na czele, ale — nie będąc w stanie zatrzymać się na głoszonym przez siebie ze znaną emfazą egalitaryźmie — wpadła odrazu w przeciwną ostateczność, tworząc znowu ustrój klasowy, ale z proletarjatem na czele. Odwróciła więc tylko do góry nogami to, co zamierzała usunąć. Prawdziwej, braterskiej, objektywnie pojętej równości nie stworzyła ani w zasadach, ani w praktyce. Nie była w stanie stworzyć, gdyż brakło jej do tego odpowiedniego stopnia wykształcenia, doświadczenia i kultury. Popadła w rażące sprzeczności, pokryła się gęstą mgłą formuł doktrynerskich i uprzedzeń i dlatego też — zbliża się koniec jej świata.

Cokolwiek mógłby ktoś przytoczyć na rachunek jej zasług w ciągu przeszło półtorawiecznego jej panowania, to jedno pozostaje w każdym razie niewątpliwem: demokracja nie była jeszcze w stanie zrozumieć prostej reguły, że dwa razy dwa może dać zawsze tylko cztery i nie umiała zrealizować tego oczywiście aksjomatu w życiu publicznem, w ustroju państw i nastrojach ludzkości.

Dopiero zwolna, pod wpływem ciężkich ciosów i rujnujących kryzysów, przychodzi cywilizowane społeczeństwo do przekonania — świadomie lub podświadomie — że z oczywistością niepodobna walczyć bezkarnie. A na tem podłożu, zlanem krwią miljonów, mordowanych w imię skrajnych haseł demokratycznych, oraz obciążonem miljardowemi stratami i nędzą materjalną cierpiącej na całym świecie ludzkości, wzrasta powoli największa, najcenniejsza zdobycz XX wieku: jasne przejrzenie i sąd objektywny! Ani bowiem zdobycie powietrza, ani radjo, ani najnowsze postępy komunikacji, ani nawet pierwsze zaczątki pewnego solidaryzmu międzynarodowego, nie stanowią największej, że tak powiem: firmowej, zdobyczy bieżącego stulecia. Wszystko to już było — i rozwój techniki i nauki i pomysły, czy nawet organizacje międzynarodowe — a jednak, w stopniowym swym rozwoju, w swych postępach i załamaniach, nie stworzyło nowego etapu cywilizacji. Przecież ani pilota na samolocie, ani szofera w taksówce niepodobna uważać za pioniera jakiegoś przełomowego okresu! Nie jest nim także ani radjonadawca, ani radjoodbiorca, ani fabrykant nowych środków wojenno-technicznych. Pionierem takim jest natomiast żywiołowy prąd wszechświatowy, druzgocący absurdy, fałsze i przesądy różnych doktryn polityczno-społecznych i ustalający na jej miejsce szczerą, objektywnie ujętą Prawdę, bez względu na to, czy ta Prawda jest komu na rękę, czy nie jest.

A ta objektywnie ujęta i wyznawana Prawda, zastosowana do dalszego rozwoju czy rewizji wszelakich pojęć i urządzeń, wywołać musi wielce orzeźwiające i twórcze rezultaty we wszelkich dziedzinach państwowego czy społecznego organizmu. Bo proszę tylko wystawić sobie reorganizację ustawodowastwa politycznego i gospodarczego w państwie w imię zdrowego, objektywnego sądu o przyczynach i skutkach. Ileż niesprawiedliwości, nie-

doli, fałszu, absurdu, walk społecznych i groźnych niebezpieczeństw może taki objektywny sąd usunąć! Bez przesady twierdzić można, że jeżeli wogóle „raj na ziemi“ jest możliwy, ów raj, o którym prawią nam dotąd z beznadziejną naiwnością lub perfidją doktryny demokratyczne, to zrealizowanie tego raju — oczywiście w pewnym stopniu, w formie przynajmniej jakiego takiego zadowolenia i ulżenia ludzkości — osiągnąć się da jedynie tylko metodą konsekwentnego stosowania Prawdy, czyli metodą objektywizmu polityczno-gospodarczego.

Oczywiście, wyrażenie „objektywizm“ zawiera w sobie zawsze pewne pojęcie względności. Jakiś absolutny objektywizm, oczyszczony całkowicie z wszelkich różnic przekonań ludzkich, jest ideałem niedosiężnym. Sąd ludzki może być tylko o tyle objektywnym, o ile wogóle pojęcia i dzieła ludzkie mogą być doskonałe. Dlategi też, mówiąc o rozpoczynającym się okresie objektywizmu w polityce i gospodarce państwowej i społecznej wogóle, mamy na myśli tylko porównanie obecnego znacznie objektywniejszego ujmowania spraw z pojęciami okresu haseł demokratycznych i radykalnych, — a więc, ogółem biorąc, emocjonalnych. Jeżeli więc np. dochodzi w jakiemś państwie do skutku pewna racjonalna, korzystna dla państwa i ogółu reforma dotychczasowego ustroju politycznego lub gospodarczego, opartego dotąd na wyraźnie szkodliwych dla państwa i ogółu doktrynach emocjonalnych, hasełkowych, to taką reformę należy uważać za rezultat pewnej objektywniejszej refleksji, za objaw odruchu „zdrowego rozsądku“. I sumę takich właśnie, mniej lub więcej daleko idących odruchów objektywnej refleksji, wywołanych wzrostem ogólnego poziomu kultury oraz ciężkiemi doświadczeniami ostatnich lat, pozwoliłem sobie określić mianem „objektywizmu“.

Stoimy bez żadnej wątpliwości u progu tego sui generis renesansu myśli ludzkiej i polityki, renesansu, który po należytem ugruntowaniu się jego prostych, oczywistych

wskazań we wszystkich państwach cywilizowanych, może istotnie sprowadzić stopniową sanację wszelakich walk i kryzysów ustrojowych, gospodarczych i „klasowych“, a temsamem zmienić na lepsze ogólne warunki bytu tak państwa, jak i jednostki. Bo objektywizm odrzuca wszelkie apriorystyczne uprzedzenia i hamulce, nie znosi ani partjokracji, ani etatyzmu w żadnej formie, ani jakichkolwiek systemów społecznego przymusu, ani zadawania gwałtu prawom natury czy korzyściom i swobodnej inicjatywie twórczej jednostki, dla forsowanej, a tylko rujnującej realizacji pewnych upartych, jednostronnych doktryn i haseł. Objektywizm jest metodą, stosowaną do wszelkich spraw i zagadnień publicznych, mającą na celu jak najściślej rzeczową ocenę tych spraw i zagadnień oraz zastosowanie, w razie potrzeby, środków prostych, celowych, z bezwzględnem odrzuceniem na bok wszelkich uczuciowych, czy fikcyjnych, czy demagogicznych hamulców, które właśnie — w ostatecznym swym rezultacie — spowodowały przerost, wypaczenie i wyjałowienie idei demokratycznej, sprowadzając takie długotrwałe kryzysy ustrojowe i gospodarcze, jakie w różnych formach obciążają i niszczą dzisiaj państwa cywilizowane, poczynając od najjaskrawszego przykładu Sowietów.

Postęp prądu objektywizmu polityczno-gospodarczego nie idzie oczywiście po linji prostej. W każdem poszczególnem państwie doznaje rozlicznych załamań, reakcji demagogicznej i hamulców. W niektórych nie mógł się jeszcze nawet zrodzić wskutek brutalnego ustroju przymusu społecznego, w innych zaledwie dopiero kiełkuje poprzez powłokę starego demokratycznego ustroju i klasowych przesądów, w jeszcze innych rozwija się zamaskowany chwilowo dyktatorskim czy półdyktatorskim ustrojem (Włochy, Polska) — ale mimo wszystko posiew jego wschodzi potężnie. Jeżeli w całym szeregu państw porównamy przeciętny stan mentalności ich rządów i ich opinji publicznej z przed dziesięciu laty ze stanem ich obecnym, to

niepodobna nie skonstatować wielkiej ewolucji w kierunku objektywizmu, mimo całej jeszcze przestarzałej skorupy dyplomatycznej, demokratycznej i hasełkowo-klasowej, która je pokrywa. Ale długi szereg mniej lub więcej doniosłych reform, zmian nastrojów, faktów, enuncjacji, artykułów prasowych, dzieł literackich i t. d. wskazuje z dniem każdym coraz wyraźniej, że „porządek stary już się wali“, ale nie w kierunku haseł marskowskich, jak to sądzą niektórzy powierzchowni a nader płochliwi badacze, lecz w kierunku wprost przeciwnym.

Kto tego nie dostrzega, czy widzieć nie chce, ten jest na razie straconym dla współpracy w tym całym zdrowym a trzeźwym rozwojowym prądzie, ten należy naprawdę do „gasnącego świata“ emocjonalnych złudzeń i przesądów, od których oderwać się nie może.

To też największym hamulcem i nieprzyjacielem odrodzenia pojęć i stosunków na platformie objektywizmu jest nietyle doktryna Marksa i inne starzejące się koncepcje radykalizmu, ile przedewszystkiem nadmierny, krótkowzroczny, prawdziwie samobójczy oportunizm pewnych sfer inteligencji, którym właśnie rozwój pojęć objektywizmu w pierwszym rzędzie przynosi wielkie korzyści. Bo doktryny emocjonalne i radykalne będą zmuszone same przez się ulec naporowi „zdrowego rozsądku“ w miarę coraz większego ujawniania się ich jałowości i szkodliwości, a równocześnie podnoszenia się cywilizacji i kultury. Natomiast uparty oportunizm niektórych wykształconych, umiarkowanych sfer społeczeństwa, żyjących dzisiaj tylko z dnia na dzień — od interesu do interesu, od posady do posady, od konjunktury do konjunktury — bez myśli na serjo o jutrze, a nawet z widoczną niechęcią myślenia o tem jutrze, wśród kompletnej obojętności i ślepoty wobec wielce dla nich korzystnego odradzania się pojęć i stosunków pod wpływem prądu objektywizmu, szkodzi najbardziej szybkiej ewolucji tego prądu, która wymaga przecież energicznego uświadomienia o niej, współdziałania i propagan-

dy właśnie przedewszystkiem w sferach umiarkowanej inteligencji.

A inteligencja ta daje się prądowi temu dotychczas dość biernie ponosić, nietylko nie przyczyniając się prawie niczem do jego ekspansji, ale nawet lekceważąc go i nieraz zwalczając — ze strachu przed rózgą demokracji i radykalizmu, aczkolwiek rózga ta w sparaliżowanej spoczywa już ręce!

Najwspanialszy, najbrzemienniejszy w owocne rezultaty program i kierunek działania otwiera się przed nami z elementarną siłą. Szerokie masy ludowe, do niedawna roznamiętniane hasłami radykalnemi, zniechęcają się do nich i gotowe są do przyjęcia każdej rozumnej, objektywnej ideologji, każdej korzystnej reformy, niewiele sobie już robiąc z różnych demagogicznych „praw nabytych ludu i postępu", które w rezultacie coraz większą przynoszą im tylko niedolę i nędzę, paraliżując swem doktrynerstwem wszelką realną poprawę bytu. Dyktatury i podobne im gwałtowne odruchy czynników miarodajnych w państwach, kierowane niewątpliwie wysokiem poczuciem patrjotyzmu i wyczuciem rzeczywistych potrzeb czasu, tłumią i kruszą niedawną potęgę demokratycznego partyjnictwa i radykalizmu. Wieje nadto przez wszystkie społeczeństwa, za wyjątkiem Rosji (a może tam właśnie tem silniej wobec krwawego ucisku?!), ożywczy prąd odrodzenia religijnego, którego coraz potężniejszym ośrodkiem staje się Watykan, bez względu na różnice wyznań. Wzmaga się zewsząd żywiołowo chór głosów: Dość kłamstwa demokracji, radykalizmu i ateizmu — trzeba zdrowego rozsądku, objektywizmu i wiary w Najwyższy Autorytet i Jego prawa, dla moralnego i materjalnego odrodzenia świata!

Nie dziwię się wrogom tego nowego odzewu, że go wszelkiemi siłami zwalczają, skoro niesie im upadek wpływów i znaczenia. Ale nie mogę dość nadziwić się tym, którzy wyznają w gruncie rzeczy zasady objektywizmu, umiarkowania, zdrowego rozsądku i religji, a jednak —

pochłonięci i zaaferowani nadmiernie drobnymi wypadkami codziennej polityki czy gospodarki — oddają się im stuprocentowo, nietylko odrzucając wszelką myśl i pracę programową, jedynie zapewniającą pewne rezultaty, ale nawet trzymając się kurczowo więdniejących form i przesądów demokratycznych i przedłużają przez to ich agonję, z niezmierną szkodą dla zwycięstwa ideologji zdrowego rozsądku i realnej naprawy stosunków.

Z naszej strony, reasumując wszystko powyższe, stwierdzić musimy stanowczo, że obserwowany i sygnalizowany przez nas — w pewnym gronie badaczy stosunków — rozwój myśli objektywnej, wybijającej się na wierzch wśród zmagań społeczeństw o poprawę warunków bytu, jest niewątpliwie najdonioślejszą zdobyczą bieżącego stulecia. Wierzymy mocno, że stawać się nią będzie coraz więcej, z każdem dziesięcioleciem, jako miernik zdobywanego przez różne państwa i społeczeństwa zasobów doświadczenia i stopnia wysokiej kultury. Długie wieki, nawet tysiąclecia, złożyć się musiały na osiągnięcie przez organizującą myśl ludzką wreszcie tego wysokiego poziomu, na którym ona jest już w stanie wyzwalać się z narzucanych jej doktryn i innych krępujących więzów i rozumować — logicznie. A to zdobycz w rezultatach swych daleko większa, niż wszelkie cuda wiedzy i techniki.

A pręd ten, par excellence nowoczesny, nie mający nic wspólnego z przestarzałym już dzisiaj racjonalizmem, który przecież w swych doktrynach materjalizmu i ateizmu zawierał zasadnicze hamulce dla rozwoju prawdziwie objektywnej, twórczej myśli — zaczyna już realizować się także w pewnej stopniowej, ale ustawicznej reorganizacji społecznej, nie bez coraz silniejszego nacisku na przyszłe normy państwowo-ustrojowe. Nie idzie i to oczywiście po linji prostej, ale wśród różnorodnych, nieraz najdziwaczniejszych i z objektywizmem pozornie najsprzeczniejszych wahań i form przejściowych. Ale pewną przeciętną, wspólną tym wszystkim zmaganiom linję dążenia wyczuć można

w jednym chociażby fakcie: że wszystkie te nowe formy i zmagania druzgocą tak czy inaczej światopogląd demokratyczny. Nie jest to niszczenie samych podstawowych, idealnych zasad demokracji, jako idei „sprawiedliwości społecznej“, które przyczyniły się w ciągu XIX-go wieku do wyzwolenia społeczeństwa z więzów ustroju stanowego i otwarły przed jednostką mniej więcej swobodne pole dla jej twórczych zdolności. Nie jest też zaprzeczeniem różnych zdobyczy społecznego i humanitarnego postępu. Ale druzgocze istotnie wszelkie wybujałości i rujnujące ludzkość sprzeczności dzisiejszych, ultramaterjalistycznych i demagogicznych doktryn i metod wojującej demokracji, która, pokonawszy aż nadto i oddawna przeciwników i spełniwszy swe twórcze zadanie, chce się obecnie utrzymać par force w postaci pasorzytniczego światopoglądu i organizacji, zwracając się w życiu praktycznem i w ustroju państwowym przeciw własnym, ongiś szczytnym zasadom wolności i zakuwając jednostkę — wzorem dawnego ustroju stanowego — w coraz cięższe pęta niewoli społecznej i niedoli gospodarczej.

Prąd więc objektywizmu polityczno-gospodarczego przychodzi — jeśli wolno tak się wyrazić — nie poto, aby dawny zakon łamać, lecz aby go gruntownie, według trzeźwych zasad logiki i zdrowego rozsądku poprawić.

Otóż pod wpływem tego prądu następuje istotnie, jak to p. Meyer w cytowanym na wstępie artykule słusznie zaznacza, stopniowe przegrupowywanie się społeczeństwa z dotychczasowej platformy romantyczno-politycznej na platformę trzeźwiej ujętych postulatów zawodowych. Powstaje rzeczywiście we wszystkich państwach cywilizowanych coś w rodzaju „frontu zawodowego“, skierowanego żywiołowo przeciw wszelkim porywczym, radykalnym, romantycznym lub wywrotowym hasłom bojowej demokracji, z uznaniem natomiast konieczności dostosowania się do praw przyrodzonych (Bożych), z pod których istota

ludzka, zrodzona tandem tedy „z mułu ziemi“, nie może bezkarnie się wyłamać w swych dążeniach materjalnych. To też owo tak dziś rozpowszechnione, rzec można: popularne, łączenie się różnych sfer zawodowych w mniej lub więcej jednolite „fronty“ nie jest niczem innem, jak tylko celowem lub mimowolnem uznaniem, że demokratyczny raj na ziemi, obiecywany przez doktryny i stronnictwa radykalne lub naiwnie-postępowe, jest oczywistą fikcją, a istotne polepszenie warunków bytu znękanego społeczeństwa i ustroju państwowego nastąpić może tylko drogą zastosowania możliwie objektywnie ujętych środków naprawy, przy stanowczem odrzuceniu wszelkich uprzedzeń klasowych i doktrynerskich.

Owe tworzące się wszędzie w różnych formach, warunkach i tymczasowych celach „fronty zawodowe“ czy „gospodarcze“ dalekie są jeszcze na razie od pełnego uświadomienia o swej właściwej roli i dalekie od ostatecznego okrzepnięcia. Wydaje się ich przywódcom lub organizatorom naogół jeszcze, iż chodzi tu tylko o lepszą obronę doraźnych interesów gospodarczych pewnych grup czy warstw zawodowych. Inni, którym się zdaje, że są bardzo sprytni i przewidujący, uważają swe odcinki „frontu zawodowego“ poprostu jako zawiązki nowych partji politycznych, które pomogą im oczywiście do osiągnięcia mandatów poselskich, czy tek ministerjalnych. Dlatego pływają jeszcze owe odcinki jednego w przyszłości frontu niezależnie od siebie, nieraz nawet we wzajemnej walce, na fluktach gasnących zmagań starego romantyzmu politycznego, jak kry lodowe na wodzie, zanim zakrzepną wspólnie w jednolitą powłokę. Ale w miarę własnego rozwoju, w miarę dalszych doświadczeń oraz dotkliwych cięgów eksperymentalnych polityki i gospodarki partyjnej i państwowej i w miarę jeszcze wyraźniejszego kompromitowania się doktryn i praktyk demokratycznych poszczególne te odcinki rozszerzyć się muszą i skonsolidować stopniowo w jednolity front, na którym nie będzie już miejsca dla pro-

gramowych dywagacji i porywczych, romantycznych eksperymentów.

Trudno w tej chwili dokładnie przewidzieć, w jakim czasie i w jakim stopniu oddziała cały ten ruch objektywizmu na ustrojowe kształtowanie się państw, a zwłaszcza Polski, naogół zawsze niechętnej wszelkim prądom organizacyjnym. To pewna jednak, że wobec nowoczesnej anarchji demokratycznej i rujnujących zapędów etatystyczno-reglamentacyjnych z jednej strony, a odstraszających skutków niewolnictwa w Sowietach z drugiej, prąd objektywizmu, jako żywiołowego odruchu przeciw tym wszystkim wybujałościom i o pomstę wołającym absurdom, wypośrodkuje jakąś racjonalną drogę, zatrzymując pewne sprawiedliwe i żywotne zasady przeszłości i uzupełniając je doświadczeniem nowoczesnem. Ustrój państw i władz ich ustawodawczych, jakkolwiek zostaną one zorganizowane, musi oprzeć się na momencie pracy zawodowej, bo skoro obywatel, nie mający żadnego zawodu, jest według pojęć nowoczesnych oczywistym pasorzytem, to dobro państwa i dobro składających je jednostek wymaga niemniej oczywiście takiego ustroju, któryby wspierał rezultaty pracy zawodowej, a nie romantyczne czy radykalne eksperymenty „politycznych bezzawodowców". Z drugiej strony rozumny, na objektywiźmie oparty ustrój zawodowy wyklucza zgóry wszelki bezpośredni przymus etatystyczny lub socjalny, tak modny w obecnym okresie przejściowym. Żadne socjalizmy, czy etatyzmy, czy faszyzmy, czy wszelkie inne formy bezpośredniego przymusu nie ostoją się wobec oczywistego, już na dotychczasowem doświadczeniu opartego rezultatu, że wszystkie one dają dużo nędzy, a coraz mniej chleba. Człowiek jest ostatecznie człowiekiem, a nie maszyną i dlatego taki tylko system może w ustroju społecznym okazać się trwałym, który dla godziwych moralnych i materjalnych postulatów jednostki przedstawiać będzie odpowiedni moment zachęty i zysku. O tem bowiem zapominają wszyscy dzisiejsi kierownicy

państw i przywódcy stronnictw, którzy hołdują systemom „przymusowego uszczęśliwienia ludzkości“, że w życiu państwowem i społecznem wogóle przymus i ofiara i zaparcie się jednostki mają tylko krótkotrwałą, dorywczą rację bytu wobec pewnych przejściowych sytuacji, wojennych lub konjunkturalnych, którym doraźnie należy się przeciwstawić, składając państwu czy społeczeństwu pewną ofiarę. Ale system taki nie da się utrzymać na stałe, z całym drakońskim aparatem sankcji i przymusu. Ostatecznie państwo jest dla obywatela, a nie obywatel dla państwa. Do tego przeświadczenia dochodzi postęp kultury XX-go wieku i o tyle właśnie różnimy się już od starożytnych, prymitywnych zasad prawodawstwa rzymskiego.

A objektywizm polityczno-gospodarczy i formujące się na jego tle kontury trzeźwej, swobodnej organizacji zawodowej, jako podstawy przyszłego ustroju państw, są właśnie wyrazem tego cywilizacyjnego postępu.

* * *

Po oddaniu powyższych uwag do druku wpadł mi w rękę doskonały artykuł w łódzkim tygodniku „Prawda“ z dn. 18 stycznia r. b., potwierdzający naszą tezę o zmierzchu demokracji i o będących w toku narodzinach nowej epoki dziejowej. Artykuł ten p. t. „Odbudowa Bastylji“ — niepodpisany — ujmuje ten problem z innego jeszcze punktu widzenia.

„Chrystus powiedział: „Oddaj cesarzowi, co jest cesarskiego, a Bogu, co jest boskiego“. Sens całego rozwoju ludzkości tkwi w tem, że coraz lepiej poznajemy, co z nas należy do „cesarza“, a co do Boga, do jakiej granicy ma prawo żądać od nas posłuszeństwa „cesarz“, a co w nas i z nas jest sprawą naszego sumienia, naszej wolnej woli, sprawą naszego stosunku do Boga, którego uznajemy.

„Każde naruszenie tej granicy, każda próba utrzymania jej niezgodnie z danym momentem rozwojowym wywo-

ływała zaburzenia i kryzysy. Siła rozkazu malała, bo z jednej strony istniała podświadoma niepewność, czy nie przekracza się granicy i rozkaz tracił na stanowczości, a z drugiej przeczucie nadużycia wywoływało bierny opór wobec rozkazu.

„Jednym z największych takich kryzysów jest ten, który ludzkość przeżywa jeszcze dzisiaj. Zaczął się ten kryzys z wybuchem rewolucji francuskiej i dzisiaj już staje się widocznem, że w rezultacie będzie to tylko kryzys dynastji, wywodzącej swój tytuł władzy z mandatu nadprzyrodzonego. Dynastja, jako przeżytek zamierzchłych kultur pogańskich, utrzymała się dlatego tylko tak długo w erze chrześcijańskiej, że idea chrześcijańska wyprzedziła rozwój ludzkości.

„Wybuch każdego kryzysu poprzedza nienaturalne zaostrzenie się przeciwieństw. W chwili wybuchu rewolucji francuskiej mieliśmy z jednej strony anachronizm dynastji, wyradzający się już w groteskę, a zdrugiej strony nabrzmienie reakcji do tego stopnia, że usiłowano zakwestjonować istnienie Boga, stawiając na jego miejsce rozum i manifest praw człowieka, ze stanowiska których dynastja była absurdem, który należało zlikwidować.

„W pośpiechu i rozgardjaszu wylano z wodą także i dziecko — załatwiwszy się z dynastją, sądzono, że załatwiono się również i z władzą absolutną, z „cesarzem", któremu kultura chrześcijańska, panująca ciągle jeszcze nad światem, nakazuje posłusznie oddać to, co jest jego, t. j. władzę i prawo rozkazu w sprawach politycznych. I gdyby wówczas kilku władców w Europie nie było stanęło na wysokości zadania, gdyby nie przyszła im z pomocą technika, którą, jakby jakąś limfę ochronną, ludzkość zaczęła produkować w tempie wprost szalonem i która poczęła szybko tworzyć swoje własne prawa zależności, subordynacji, dyscypliny i hierarchji, zagarniając pod panowanie maszyny zdemoralizowane i bezpańskie rzesze, świat wówczas byłby pogrążył się w straszliwym i niszczycielskim

chaosie, gdyż z jednej strony postępował nieustanny i nie dający się niczem powstrzymać upadek i rozkład dynastji, a z drugiej strony żadnego innego „cesarza“ ludzkość nie umiała sobie stworzyć, niezdolna odejść od skrajnych haseł rewolucji francuskiej, głoszących, że władza należy do narodu. Z tych haseł starano się i stara się jeszcze dzisiaj wyciągnąć jakieś praktyczne wnioski i na tem tle zrodził się liberalizm polityczny, doktryny demokratyczne, parlamentaryzm, zasada większości i t. p.

„Kryzys, który zaczął się w chwili wybuchu rewolucji francuskiej, trwa jeszcze, ale coraz bardziej widocznem się staje, że żaden z tych „cesarzy“, których usiłuje się postawić na miejsce, opróżnione przez dynastję absolutną, nie jest prawdziwym. Coraz lepiej widzimy, że rewolucja francuska obaliła tylko dynastję, ale nie naruszyła w niczem podstaw absolutyzmu. Dziecko, które w Paryżu wylano nieopatrznie z wodą dynastji, nie zginęło. Wyrosło sobie na uboczu i przychodzi upomnieć się o swoje prawa. We Włoszech usadowiło się obok dynastji i dobrotliwie klepie ją po ramieniu, jakby chciało pokazać światu, że już się usamodzielniło zupełnie.

„Wybitny myśliciel włoski Ferrero twierdzi, że rozwój ludzkości odbywał się prawidłowo aż do wybuchu rewolucji francuskiej. To, co nastąpiło od tego czasu, nie liczy się. Jego zdaniem jest to okres przejściowy i w pewnym momencie ludzkość będzie musiała wrócić tam, gdzie stanęła w przededniu rewolucji francuskiej, aby wznowić przerwany swój pochód.

„Z tym zasadniczym poglądem Ferrera trzeba się zgodzić. Natomiast trudno zgodzić się z jego przewidywaniami, że ludzkość w tym powrocie zgubi maszynę, a uratuje demokrację. Przeciwnie — maszyny nie zgubi, ale zgubi na wiele stuleci demokrację. Odbudowa Bastylji już się zaczęła i to jest może znakiem, że kryzys się kończy“.

Tak — ludzkość nie zgubi maszyny, przeciwnie, będzie ją coraz bardziej doskonalić i właśnie w miarę „do-

skonalenia maszyny" wyzbywać się będzie demagogicznych, radykalnych czy romantycznych doktryn, więzów i przesądów — a zwłaszcza najgłupszego, najszkodliwszego, niezgodnego z wysokim poziomem cywilizacji przesądu: sprzeczności interesów społecznych i walki klasowej. Żadnej natomiast nie ulega dla nas wątpliwości, że ludzkość już gubi demokrację, bo demokracja sama się ośmiesza, przeżera i gubi.

Powstają istotnie mury nowej Bastylji. Ale powstają nie po to, aby więzić w sobie — jak dawniej — twórczą myśl ludzką, ale przeciwnie, aby uwięzić na zawsze to wszystko, co tej twórczej, konstruktywnej, objektywnej myśli dzisiaj się jeszcze przeciwstawia z doktrynerskim uporem.

I dlatego zgadzam się najzupełniej z autorem cytowanego artykułu, że rewolucja francuska — wbrew utartym mniemaniom — była w istocie tylko wykolejniem na pewien czas zdrowego, normalnego rozwoju cywilizacji. Jestem głęboko przekonany, że gdyby nie było wielkiej rewolucji i wszystkich następnych, krwawych lub bezkrwawych przejawów radykalizmu społecznego, które formowały gwałtem i przymusem nasz świat nowoczesny — to postęp cywilizacyjny, idąc spokojnie naprzód, byłby osiągnął dzisiaj ten sam mniejwięcej stopień rozwoju, jaki obserwujemy. A może i większy! Nie ulega bowiem wątpliwości, że rewolucja i wszelkie doktryny czy zamierzenia radykalne, które wstrząsają ludzkością od 150 lat, pchnęły wprawdzie postęp cywilizacyjny i ustrojowy raz poraz silnie naprzód — ale właśnie nazbyt gwałtownie! A przez to rozwój ten i różne nowoczesne urządzenia przerosły i wypaczyły się w sposób, dla zdrowego rozwoju szkodliwy. Mówiąc językiem rolnika: przekarmiono bezkrytycznie nowy posiew sztucznym nawozem doktryn demokratycznych i dlatego posiew ten wybujał nadmiernie w... słomę o pustych ziarnach. Byłoby lepiej, gdyby rozwój cywilizacji uniknął był tych przesadnych, często niszczących

impulsów i szedł naprzód drogą spokojnej twórczości i —
zdrowego rozsądku.

Słusznie więc twierdzi autor powyższego artykułu, że kończący się okres demokracji jest przejściowym i ludzkość będzie musiała nawrócić do okresu przed rewolucją francuską, aby „wznowić przerwany swój pochód".

Jan Bobrzyński

ZAGADNIENIE OBRONY PAŃSTWA.

Na zebraniu dyskusyjnem Koła Przyjaciół „Naszej Przyszłości“ w połowie grudnia z. r. wyłonił się postulat lepszego, niż dotąd, uświadamiania opinji publicznej o faktycznej sile militarnej naszego państwa i bojowej gotowości armji polskiej. Temat to dotąd w publicystyce prawie nie poruszany, co uważamy za błędne. Znajomość bowiem, przynajmniej ogólna, siły militarnej, jaką istotnie rozporządzamy, jest niezbędną zarówno dla całego nastawienia naszej polityki wewnętrznej i zewnętrznej, jak i dla ewentualnego podniesienia na duchu społeczeństwa, politycznie zewsząd zagrożonego i atakowanego ciągle prowokacjami ze wschodu i zachodu.

W takich warunkach nie należy okrywać naszych spraw wojskowych zanadto zasłoną tajemnicy, ale powiedzieć społeczeństwu prawdę. Będzie to dobrze i dla niego i dla sprawy zaspokojenia naszych potrzeb wojskowych i dla zagranicy!

Niżej podany artykuł fachowy zamieszczamy za zgodą odpowiedzialnych władz. (Red.).

Omawianie spraw, związanych z zagadnieniem obrony państwa, należy niewątpliwie do najtrudniejszych, do najbardziej „drastycznych“ tematów. Musimy tu bowiem z konieczności wybierać pewien złoty środek między odsłonięciem kart a ukrywaniem całej ich wartości. Pierwsze jest niebezpiecznem ze względów zrozumiałych, drugie również niepożądanem ze względów ogólnego uświadomienia społeczeństwa o sile zbrojnej jego państwa.

Tylko więc ściśle rzeczowe zdanie sobie sprawy z posiadanych przez nas sił i środków może nam dać kryterjum naszego własnego bezpieczeństwa, czynnika, którego brak wpłynąłby hamująco na rozwój nietylko jakiejś szerszej myśli państwowej, ale również i na normalny tok życia wewnętrznego.

Czy więc omawianie spraw tego rodzaju, spraw tak „drastycznych", jest wogóle wskazanem? Czy w obawie o możliwe odsłonięcie kart nie lepiej, nie bezpieczniej będzie dla nas przejść do porządku nad tego rodzaju sprawami, w ślepem zaufaniu do rządu, do najwyższych władz wojskowych, wychodząc z założenia, iż czynniki te „wiedzą, co robią", przeciętny zaś obywatel nie powinien się nad temi rzeczami zastanawiać?

Wydaje nam się, że pogląd ten byłby błędny. W dzisiejszych czasach „narodu pod bronią", kiedy każdy obywatel w każdej chwili może stać się żołnierzem, każdy też obywatel winien zdawać sobie sprawę ze stopnia grożącego z zewnątrz niebezpieczeństwa. Dotyczy to przedewszystkiem nas właśnie, narodu, który swego czasu utracił byt niepodległy, a tak niedawno znów go odzyskał. Narody bowiem, które przez tak smutne doświadczenie nie przeszły, narody, przywykłe do naprężenia wszystkich sił w obronie tego najwyższego dobra, jakiem jest niepodległość, nie wątpią w skuteczność obrony. Nieco inaczej przedstawia się u nas ta sprawa: w nasze masy, świeżo do odzyskanej niepodległości powołane, a pamiętające jeszcze tak niedawną niewolę, wpajać jeszcze wciąż należy przeświadczenie o wartości własnej, zrozumienie, iż najmniejszy, najsłabszy nawet naród musi i może bronić swego bytu, że zadanie obrony tego bytu rozwiązać może mimo przemocy wroga, mimo braku „granic naturalnych" i tym podobnych czynników, o ile tylko zdecydowanie, świadomie i z całem poświęceniem odda swe siły sprawie obrony. Dzieje ostatniej wojny są bodaj najwymowniejszym tej zasady przykładem, a jeśli historja przynosi i przykłady

przeciwne, to niechże te rzadkie wyjątki będą tylko potwierdzeniem powyższej powszechnej reguły.

Czy w Polsce odrodzonej, współczesnej, jesteśmy już wszyscy przeświadczeni o istocie i prawdzie tej zasady? Czy wszyscy rozumiemy już dobrze, że kraj trzydziestomiljonowy, wielki, o nieprzebranych bogactwach naturalnych, kroczy istotnie po drodze mocarstwowych przeznaczeń? Czy zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, że Polska — Państwo nowoczesne — imponuje na zewnątrz swą siłą, że właśnie dlatego jest bezpieczna, bo jest silna? Czy wierzymy w to wszyscy, że Polska, napadnięta przez kogoś niebacznie z zewnątrz, potrafi dać temu napastnikowi taką odprawę, że wróg ten, połamawszy sobie zęby i pazury, cofnąć się będzie musiał ze wstydem?

Jeżeli tak jest, to niniejsze rozważania będą w każdym razie pożyteczne, jeśli zaś jest inaczej, jeśli w społeczeństwie naszem są jeszcze obywatele, wątpiący, czy w razie napadu potrafimy się obronić, to informacje poniższe uważamy wprost za niezbędne.

Otóż musimy i możemy się obronić! Jesteśmy o tem przeświadczeni i postaramy się tego dowieść. Nie ryzykujemy bynajmniej twierdzenia, że ufni w naszą moc i moc zawartych traktatów, spocząć możemy na laurach, że nawet wyzwani, staniemy do walki pod dewizą „jakoś to będzie". Przeciwnie, powiedzmy sobie raczej, że walka, próba sił, właśnie mimo wszelkich traktatów zawsze jest możliwa i że wynik pomyślny tej walki od nas będzie zależny.

Z kim i jak walczyć będziemy?

Dziecinnem wydaje nam się twierdzenie, że na wypadek wojny „Polska będzie napadnięta ze wszystkich stron", że nie będzie mogła nawet się bronić, gdyż „rzucą się na Polskę jednocześnie np. Rosja i Niemcy" i oba te państwa zdławią nas, zanim nawet „zachód przyjdzie (o ile przyjdzie!) z pomocą..."

Takie, jawnie samobójcze myśli wyrzucamy poza nawias naszych rozważań, nie dlatego, żebyśmy mieli przeoczać, iż historja dała nam kiedyś przykład podobny, ale właśnie dlatego, iż z tej to historji wiemy dobrze, że katastrofa ówczesna była możliwą jedynie wskutek naszej ówczesnej bezsiły, bezwoli, niewiary w siebie samych. A jeśli o przykładach historycznych już mowa, to mamy przecież w pamięci i przykład przeciwny: Francji rewolucyjnej, zwycięskiej w wojnie z grożącą jej w tym samym właśnie czasie równie potężną koalicję.

Niebezpieczeństwo najazdu moskiewsko-niemieckiego na ziemie nasze wykluczamy w tej chwili z naszych rozważań i z tego względu, że tego rodzaju zawierucha dziejowa pociągnęłaby za sobą bezwzględnie interwencję zachodu, rozpętałaby znów wojnę wszystkich przeciw wszystkim i możliwości naszej obrony w tym wypadku musielibyśmy tu rozważać w całem morzu niewiadomych. Wykluczamy też świadomie z naszych rozważań niebezpieczeństwo, grożące nam ze wschodu. Wydaje nam się bowiem, że nawet przeciętny nasz obywatel, patrząc na wschód, nie może nie pamiętać o niedawnym jeszcze roku 1920, że więc i po tamtej stronie kordonu moglibyśmy obserwować reminiscencje z tego czasu. Pamięć doznanej klęski trwa często długie lata... Sądzimy natomiast, że w rozważaniach naszych możemy zatrzymać się na przykładzie najbardziej typowym, najbardziej bliskim, najłatwiej zrozumiałym: na możliwości starcia z Niemcami. Czyż przeciętny nasz obywatel, gdy myśli o starciu zbrojnem, o niebezpieczeństwie, grożącem z zewnątrz, nie patrzy właśnie w tę stronę — w stronę Berlina czy Królewca?

A skoro wybrany przykład uznamy za trafny, jeśli stwierdziliśmy pewne „nastawienie“ opinji w tym, najgroźniejszym dla nas kierunku, to spróbujemy rozważyć stopień grożącego nam niebezpieczeństwa, możliwości przeciwstawienia się z naszej strony — słowem, to wszystko,

co umożliwi nam wyciągnięcie pewnych niezbędnych w tym względzie dla nas wniosków.

Mówiąc o Niemcach, o możliwości orężnej z nimi rozprawy, musimy na samym wstępie jak najsilniej zaatakować i jak najszybciej wykluczyć z naszych rozważań pewien czynnik psychiczny, tkwiący powszechnie w umysłowości słowiańskiej, a odbijający się pewnem echem i w umysłowości naszej, mianowicie pierwiastek „niezwyciężoności“ niemieckiej. Istotę i siłę tego przeświadczenia, mającego swe źródło w prawiekach, obserwowaliśmy niedawno w masie idącego na zachód, a potem cofającego się daleko na wschód żołnierstwa rosyjskiego w czasie wielkiej wojny. Pewnem echem tych niedawnych obserwacji jest pokutujące u nas tu i ówdzie przeświadczenie, iż Niemcy swymi „gazami, samolotami i bronią techniczną zmiażdżą nas w pierwszem uderzeniu“, że wystarczy, by na ziemi naszej ukazał się choćby tylko Stahlhelm, abyśmy musieli schować nasz miecz do pochwy. Otóż tego rodzaju zabobonów czy przesądów, zanim przejdziemy do naszych rozważań, wyzbyć się musimy całkowicie. Musimy przypomnieć sobie, że my właśnie — Polacy — mamy być przedewszystkiem od nich wolni. Nietylko dlatego, że sami jedni ze Słowian zachodnich potrafiliśmy się oprzeć skutecznie Niemcom w ich parciu na wschód, ale również, że cały niemal przebieg naszych dziejów, całe pasmo naszych walk z Niemcami obfituje w nazwy takie, jak Psie Pole, Płowce i Grunwald, że u schyłku XVIII w. ulegliśmy wprawdzie, ale nie w walce, tylko nie chcąc wprost przeciwstawiać się pamiętnym „kordonom sanitarnym“, a potem rozbiorczym Prus.

Od r. 1772 do dnia dzisiejszego wiele zmieniło się w stosunku sił między Niemcami a nami. I myśląc o tych rzeczach, nie powinniśmy operować wciąż kategorjami wspomnianych „kordonów sanitarnych“, a raczej znowu kategorjami walk, których wyrazem były właśnie wspom-

niane już powyżej nazwy bitew *). A oscylując między pojęciem „jednego Stahlhelmowca, maszerującego na Warszawę“, a tem, co Moskale zwykli nazywać „szapkami zakidajem“ (czapkami zarzucimy) — spróbujemy dotknąć sedna rzeczy, mianowicie wzajemnego stosunku sił Niemiec i Polski.

Przedewszystkiem więc, czem są Niemcy, dzisiejsze Niemcy, a zwłaszcza siły zbrojne Niemiec?

Zanim przejdziemy do rozważań nad tym ostatnim zwłaszcza przedmiotem — pogotowiem wojennem Rzeszy — musimy znów stanąć do walki z całym szeregiem fałszywych pojęć, które zasłaniają nam dokładną obserwację i które, podobnie jak pojęcie „niezwyciężoności“ Niemiec, odrzucić musimy, jeśli rozumować chcemy realnie. Zastrzegając się zgóry, iż w rozważaniach naszych powodować się będziemy przedewszystkiem realizmem pewnych cyfr, pozostawiając wszelkie fantazje autorom „przyszłych wojen“, możemy ująć wyżej wspomniane pojęcia np. w zdaniu następującem: „W przeciwstawieniu do biednej, słabej Polski, Niemcy — to olbrzymia, zwarta, 70-miljonowa masa z wielomiljonową, świetnie wyposażoną armją, gotową każdej chwili do rzucenia się naprzód“. Otóż przeświadczenie to, pokutujące podświadomie w naszych masach jeszcze z przed lat wielkiej wojny, musi być stanowczo obalone, podobnie, jak pojęcie o „niezwyciężoności“ Niemiec, gdyż wymaga tego rzeczywistość, wymowa pewnych powojennych, obserwowanych przez nas faktów.

---

*) Redakcja „Naszej Przyszłości“ podnosi z głębokiem przekonaniem i z żywem zadowoleniem ten doniosły apel autora, nastawienie bowiem, słusznie uzasadnione, żołnierza i całego wogóle społeczeństwa polskiego w tym właśnie kierunku jest już pierwszorzędnym zadatkiem zwycięstwa w ewentualnym konflikcie zbrojnym, a zarazem potężnym impulsem twórczym w całej naszej pracy wewnętrzna-państwowej i polityce zewnętrznej. Nastawienie takie, dalekie od wszelkich awanturniczych porywów, wzmoże jednak w wysokim stopniu moc i tężyznę polskiego społeczeństwa!

Czemże więc jest przedewszystkiem ta „zwarta, 70-miljonowa masa“, o której mowa?

A więc: Niemcy dzisiejsze nie są wcale zwartą masą, już choćby z tego względu, że poważna część terytorjum niemieckiego — co jest szczególnie interesującem właśnie z punktu widzenia strategicznego — mianowicie Prusy Wschodnie, odcięta jest przez nasze Pomorze od pnia wspólnego. A dalej, cyfra 70 miljonów, używana potocznie na określenie wysokości zaludnienia Niemiec, zbyt jest wysoka. W rzeczywistości ludność Rzeszy przewyższa zaledwie 62 miljony głów, przyczem „zwartość“ etniczna zakwestjonowana być może już choćby ze względu na mniejszości, jak Polacy, Czesi, Holendrzy, Duńczycy, Litwini i t. d. — w łącznej ilości conajmniej miljona głów. Nie zapominajmy też, że „zwartość“ wewnętrzna zależna jest w poważnej mierze także od różnic szczepowych, dzielących Niemcy od wieków na północne i południowe, oraz na Niemcy protestanckie (40-miljonów głów) i katolickie (20 zgórą miljonów), czyli mówiąc potocznie, na Prusu i „Niemcy właściwe“. Tak więc „zwartość wewnętrzna“ Niemiec wygląda nieco inaczej, niż się ją zwykle podaje.

Jak teraz z kolei wygląda owa „miljonowa, świetnie wyposażona“ armja niemiecka?

Pozostawiając wszelkie fantazje przyszłości tejże przyszłości, a rozważając rzecz na zimno, stwierdzić musimy, że traktat wersalski zabrania Niemcom posiadania sił zbrojnych ponad 115 tysięcy ludzi, zabrania utrzymywania instytucji sztabu głównego i wyższej szkoły wojennej, w uzbrojeniu zaś zabrania posiadania artylerji ciężkiej (poza uzbrojeniem fortów Królewca) oraz czołgów, lotnictwa wojskowego, a w marynarce broni podwodnej. Zgodnie z powyższemi klauzulami utrzymują Niemcy 100.000 wojska stałego, werbowanego w drodze zaciągu ochotniczego na lat 12 oraz 15.000 marynarzy. Organizacyjnie biorąc, armja dzieli się na dwa korpusy, te zaś łącznie na 7 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerji, co — przy 3 puł-

kach piechoty i 6 pułkach kawalerji na dywizję — wynosi razem 21 pułków piechoty, 18 pułków kawalerji, 7 pułków artylerji i po 7 bataljonów resp. dywizjonów saperów, wojsk łączności, taborowych, samochodowych oraz sanitarnych. Całe to wojsko uzbrojone jest w 84.000 karabinów piechoty i 18.000 karabinów (kawalerja i artylerja), 792 ciężkich i 1.134 lekkich karabinów maszynowych, 63 miotaczy min ciężkich i 189 lekkich, wreszcie w 204 dział polowych lekkich (77 mm.) i 84 haubic polowych (105 mm.). Brak artylerji ciężkiej (poza artylerją forteczną w Królewcu), najcięższej i przeciwlotniczej, brak czołgów i eskadr lotniczych. Siły marynarki nie mogą przekroczyć liczby 6 pancerników (do 10.000 ton), 6 krążowników (do 6.000 ton), 12 torpedowców i 12 kontrtorpedowców, przyczem brak, jak wspomnieliśmy, broni podwodnej.

Cała ta, stosunkowo niewielka, typowo ochotnicza armja zorganizowana jest mniejwięcej równomiernie na całej przestrzeni Rzeszy. Zaletą jej jest z pewnością pewna „kadrowość", co łatwo zrozumieć, jeśli zważymy, iż wojsko to liczy w swym składzie 4.291 oficerów i 5.927 urzędników wojskowych oraz 23.880 podoficerów, przy 70.000 zgórą szeregowców; wypada więc na 2 szeregowców bezmała 1 szarża! Wadą natomiast, w ogólnem naszem rozumieniu, jest długotrwały okres służby (12 lat). Słabą więc będzie „zdolność przepustowa" tego wojska, jako szkoły żołnierza, dającej powszechnie w innych krajach rok rocznie setki tysięcy przeszkolonych wojskowo obywateli.

Jakież będą rezerwy niemieckie na wypadek wojny?

Będzie to przedewszystkiem rocznik, który w danym roku ukończył już swoją 12-letnią służbę zawodową, a więc 115.000 świetnie wyszkolonego, starszego żołnierza, dalej policja, licząca 140.000 głów, z której conajmniej 110.000 (policja państwowa) może być użyte niemal na równi z oddziałami wojskowymi. Zmobilizowane zosta-

ną też z pewnością stowarzyszenia wojskowe, jak np. Stahlhelm — 1.200.000 członków, Związek b. Wojskowych — około 3.000.000 członków, Związek Republikański (Reichsbanner) — około 3 i pół miljona głów, wreszcie bardzo liczne związki sanitarne, techniczne i t. p. Wszystkie te stowarzyszenia imponują bezsprzecznie swą liczbą, jednakże nie możemy tu pominąć, że nietylko zwalczają się one wzajemnie na pewnych płaszczyznach, ale i stopień ich sprawności bojowej jest z pewnością bardzo różny. W każdym bądź razie Stahlhelm i Związek b. Wojskowych mogą być uważane za rezerwy wartości pierwszorzędnej, co dla Niemiec jest atutem bardzo poważnym. Pamiętajmy też, że sieć kolejowa niemiecka jest rozbudowana doskonale, że zdolności mobilizacyjne i organizacyjne Niemiec znane są powszechnie, że uprzemysłowienie i zasoby kraju są zdolne do uzupełnienia wszystkich braków technicznych (broń, amunicja i t. p.) w czasie bardzo krótkim.

A teraz, gdy zapoznaliśmy się, choćby tylko w ogólnym zarysie, ze zdolnością bojową Niemiec, przyjrzyjmy się z kolei siłom i środkom własnym, zastanówmy się, co przeciwstawić będziemy mogli Niemcom i jakie są, czy mogą być nasze możliwości orężne.

Zacznijmy od cyfr globalnych. Otóż, w przeciwstawieniu do 115.000 głów stałego wojska niemieckiego, nasze siły zbrojne (wojska stałego, marynarki wojennej i Korpusu Ochrony Pogranicza) wynoszą około 300.000 głów. Wojsko to dzieli się na 30 dywizji piechoty, zgrupowanych w 10 okręgach korpuśnych, co daje 90 pułków piechoty. Stosunkowo znaczną jest ilość kawalerji, wynoszącej 40 pułków, zgrupowanych w dywizje i samodzielne brygady.

Każda dywizja piechoty wyposażona jest nie słabiej, niż niemiecka, w artylerję, oddziały saperskie, łączności, taborowe, sanitarne i t. p. Wielkie jednostki kawalerji (dywizje, brygady) w artylerję konną i broń pancerną (samochody pancerne). Prócz artylerji polowej, posiadamy artylerję ciężką (155 mm.), najcięższą, przeciwlotniczą

i czołgi, oraz potężnie rozbudowane lotnictwo. Źródła niemieckie mówią, iż polska flota powietrzna ustępuje na stopie pokojowej tylko w 20 procentach flocie powietrznej francuskiej, przyczem źródła te określają ilość aparatów bojowych francuskich (na stopie pokoju) cyfrą 3.430. A jeśli nasza młoda marynarka wojenna nie może się, niestety, pochwalić jeszcze ani jednym pancernikiem, czy choćby tylko nawet krążownikiem, to nasz minimalny program morski przewiduje natomiast najgroźniejszą broń — łodzie podwodne.

Oto mniejwięcej to, co przeciwstawić możemy nieprzyjacielowi w pierwszym dniu wojny. Jakież byłyby nasze rezerwy? Na to odpowiedźby można, biorąc pod uwagę ilość członków organizacji naszych b. Wojskowych (Federacja Związków Obrońców Ojczyzny grupuje ćwierć miljona głów) i określając cyfrę rezerw właściwych. Przyjmując tu czas służby wojennej (18 miesięcy w piechocie i nieco więcej w broniach jezdnych) oraz wyżej podaną ilość wojska stałego, to za okres ubiegłego dziesięciolecia, dzielącego nas od ostatniej wojny, otrzymamy niemniej jak 2,000.000 ludzi, wyszkolonych bojowo. Nie zapominajmy też, że pewne przygotowanie wojenne (szkołę Strzelca) otrzymały już — dzięki instytucjom przysposobienia wojskowego — setki tysięcy młodzieży w wieku przedpoborowym. Ilość tych „przyszłych żołnierzy" oceniają źródła niemieckie na trzy miljony głów.

O naszych zdolnościach mobilizacyjnych mówić dziś jest trudno; nie mamy w tej mierze dostatecznych doświadczeń. Możemy jednak mówić o zdolnościach organizacyjnych i wyszkoleniowych, a jeśli miarodajną byłaby tu opinja obca, to niemieckie właśnie źródła stwierdzają, iż dzięki zaprowadzonej u nas w r. 1926 jednolitości dowództwa — podporządkowanie ministerstwa spraw wojskowych i sztabu głównego generalnemu inspektorowi sił zbrojnych — zarówno organizacja wojska, jak przedewszystkiem wyszkolenie, bardzo znaczne poczyniły postę-

py. Te same źródła mówią o ujednostajnieniu uzbrojenia (piechota nasza w 80 proc. uzbrojona jest już w karabiny Mausera polskiej produkcji), o unowocześnieniu broni (zastąpienie starych typów broni pancernej i maszynowej przez typy najnowsze), wreszcie o naszej samowystarczalności w przemyśle wojennym. Miarą postępu w tej ostatniej dziedzinie ma być, według źródeł niemieckich, ilość zakładów przemysłowych, pracujących dla obrony państwa, przyczem ilość ta w r. 1923 miała się wyrażać cyfrą „5 pozostawionych przez Niemcy zakładów", natomiast w r. b. posiada Polska już „19 państwowych, 9 półpaństwowych i 17 prywatnych zakładów, pracujących na potrzeby wojska, oraz pewną ilość poważnych fabryk, których produkcja każdej chwili na te cele może być użytą".

Tyle mniejwięcej mówią na naszą korzyść znane już ogólnie informacje i źródła niemieckie, których kwestjonować nie zamierzamy.

Zobrazowawszy w ten sposób — w najogólniejszych zarysach — siły i środki przeciwnika oraz własne, spróbujemy przejść do rzeczy najtrudniejszej może, ale z pewnością najważniejszej, t. j. do pewnych wniosków, któreby dozwoliły nam powziąć pewną opinję o istocie, o całości zagadnienia.

Reasumujemy: pogotowie wojenne Niemiec jest niemal trzykrotnie słabsze od naszego, jeśli chodzi o liczbę głów, dalej pogotowie to jest wyposażone technicznie gorzej od naszego, nie posiada artylerji ciężkiej, czołgów, lotnictwa. Rezerwy, przeszkolone bojowo w sposób nowoczesny (półsurowe), są niższe liczbowo od naszych. Natomiast Niemcy posiadają poważne atuty w postaci floty wojennej, rozbudowanej dziś już bardzo potężnie, w postaci przewyższających nas zapewne dwukrotnie rezerw surowych w materjale ludzkim, przewyższających nas znacznie rezerw w materjale technicznym, który może być użyty na potrzeby wojska (lotnictwo cywilne, samochody, obrabiarki i t. p.), w środkach przewozowych (koleje),

w surowcach (węgiel, żelazo). Na zasadzie powyższego porównania możnaby więc zaryzykować twierdzenie, że stosunek sił najkorzystniejszym będzie dla nas w pierwszym okresie działań wojennych i z biegiem tych działań zmieniać się może stale na naszą niekorzyść.

Jeśli więc drugą część naszego twierdzenia uznajemy całkowicie, to uznać musimy, że i pierwsza musi mieć conajmniej tę samą dozę słuszności. A jeżeli uświadomimy sobie, choć w części, walor naszych wyżej wspomnianych atutów, to niewątpliwie dołożymy też w wypadku krytycznym wszystkich sił, aby żadnego z tych atutów nie zmarnować.

Zgłębiając więc te sprawy, rozumiemy przedewszystkiem doskonale, iż o starciu zbrojnem może być mowa tylko w wypadku napadu nieprzyjacielskiego na całość naszego terytorjum. Wykluczając zaś napad z naszej strony, wiemy dobrze, iż napadnięci nie będziemy czekali spokojnie, zabarykadowani w naszym własnym domu, a przeciwnie — w zrozumieniu wartości obrony czynnej — rzucimy się śmiało naprzód w zdecydowanie obranym kierunku. Część sił będziemy oczywiście musieli pozostawić na osłonę od wschodu, ale znajdzie to równoważnik swój w tem, że i przeciwnik nasz będzie musiał wydzielić część swych sił na osłonę swych tyłów z zachodniej strony. Dalej, pamiętać będziemy z pewnością o tem, iż nie posiadamy „granic naturalnych", ale wiemy też dobrze, że granic takich i przeciwnik nasz nie posiada. Zdawać sobie będziemy dobrze sprawę z tak zwanych „punktów słabych", jak np. bliskość naszej stolicy od granicy Prus Wschodnich, albo bliskość naszego Zagłębia od granicy niemieckiej. Ale przeświadczenie to przypomni nam też i o wszystkich słabych punktach przeciwnika, jak o położeniu jednej jego wielkiej prowincji, o bliskości jego stolicy, czy jego bogatego zagłębia, w stosunku do naszych granic...

Będziemy się bronili napadnięci. Będziemy więc mieli za sobą słuszność sprawy — „popularność wojny“ w kraju. Tego czynnika nie chcemy tu mocniej podkreślać, nie chcąc go przeceniać. Pamiętając o wyżej wspomnianej „krzywej stosunku sił“ (w miarę przeciągania się wojny), rzucimy się naprzód, dążąc do jak najszybszej rozprawy, pomni, iż każde osiągnięte powodzenie da nam nietylko sukces doraźny, ale paraliżować będzie także zdolność wojenną nieprzyjaciela, będzie go pozbawiało możności „improwizacji“ na tem polu, mianowicie na zajętej przez nas przestrzeni jego kraju. Będziemy w drodze szybkich, śmiałych manewrów dążyli za wszelką cenę do pokonania żywej, idącej na nas siły nieprzyjaciela, oraz do tego, by uniemożliwić tworzenie się dalszych rezerw nieprzyjacielskich wewnątrz kraju, pamiętając, że każdy zmarnowany dzień, każda zmarnowana godzina przechylać będzie szalę na naszą niekorzyść.

W jakim stopniu możemy osiągnąć powodzenie? Dalecy jesteśmy od twierdzenia, iż w pierwszym dniu wojny, przy pomocy naszego lotnictwa, kawalerji, ciężkiej artylerji i czołgów, „czapkami zarzucimy“ nieprzyjaciela, że wojna ta będzie „spacerem do Berlina“, jakąś niedługą, wesołą wojenką... Ale gdybyśmy patrzyli nawet najczarniej, gdybyśmy wykluczyli przewagę naszych sił na początku wojny, gdybyśmy przypuścili zmarnowanie wszystkich naszych, wyżej wymienionych atutów, to i tak nie mamy powodu twierdzić, iż Niemcy, gdy „tylko zechcą, wytrują nas wszystkich gazami“, że „zbombardują w pierwszym dniu wojny wszystkie nasze miasta“, że sparaliżują zdolności naszej obrony do tego stopnia, iż sam już Stahlhelm wystarczy, by nas pokonać.

Na odparcie tych ,twierdzeń“ powinniśmy mieć przeświadczenie i o naszem pogotowiu gazowem, o wartości bojowej naszych eskadr lotniczych, które zrobią wszystko, co do nich należy, w obronie naszego nieba. Wiemy już dobrze, że najlepszą obroną powietrzną jest aparat bojowy,

że najlepszą obroną na ziemi jest strzelec dobrze okopany, że decydująco, ostatecznie, rozstrzyga zawsze dobrze poprowadzony, świadomy celów walki obywatel kraju z karabinem w ręku.

A jeśli wojna przeciągnie się, jeśli wróg będzie improwizował i tworzył coraz nowe, coraz lepiej wyposażone technicznie rezerwy? Jeśli przewaga sił przemawiać będzie coraz bardziej na jego korzyść? Czyż dlatego w pewnym dniu zmagań opuścimy ręce i powiemy sobie: Dalej bronić się nie warto?

Nie! Nawet w ostatnim dniu walki, nawet w chwili, gdy zawiodą nas wszelkie ludzkie rachuby, pamiętać będziemy o tem, ile zawsze zaważa na szali słuszność sprawy i wola zwycięstwa. I może w chwili takiej przypomnimy sobie, iż w pewnym dniu naszych dziejów musieliśmy się zetrzeć z przewagą liczby i przewagą „środków technicznych" przeciwnika, przeświadczonego z dumą o swej niezwyciężoności, który nie miał dla nas nic, prócz pogardy. A przecież, poprowadzeni do walki wolą zwycięstwa i oparci o słuszność naszej sprawy — zwyciężyliśmy.

Tym dniem był Grunwald!

Tak więc, ufni w możność i skuteczność naszej obrony, będziemy spokojnie pracować, rozbudowywać się i oszczędzać, pomni, że każdy rok pracy, każdy przeszkolony rocznik rekruta, każdy zaoszczędzony grosz, każdy założony przez nas nowy warsztat, wszystko to pracuje dla nas i odsuwa od nas coraz bardziej widmo niebezpieczeństwa — grozę najazdu.

Por. Karol Koźmiński
Referent Wojsk. Instytutu naukowo-wydawniczego.

TA TRZECIA...!

I.

Ludności pobrzeży oceanów znanem jest dobrze groźne zjawisko, nie posiadające, o ile nam wiadomo, odpowiedniej polskiej nazwy, ale powszechnie nazywane „raz de marée“. Z rozmaitych, mało zanych przyczyn, zazwyczaj podczas przypływu morza, pojawiają się nagle olbrzymie fale, siejąc w ciągu paru minut zniszczenie na wybrzeżach. Zjawisko to ma dziwną osobliwość: oto fale te postępują zawsze trójkami i gdy pierwsza podmywa brzegi, druga zalewa je, druzgocąc wszelkie przeszkody, zaś trzecia dopełnia, że tak powiemy, miary i zabiera, pociągając w głębiny oceanu, szczątki budowli lub żywe ofiary.

Mówiliśmy już w tem piśmie o budzącej się Azji, potem o imperjaliźmie różnobarwnych międzynarodówek, trudno więc nie poruszyć i „tej trzeciej“ walnej sprawy, która stanowi również wielki problem przyszłości, mianowicie — Ameryki, a raczej amerykanizacji świata. Pisząc o Ameryce, a tembardziej o amerykanizacji życia, mamy naturalnie na myśli Stany Zjedn. Ameryki Północnej, bo o ile wszelkie inne kraje tego kontynentu posiadają niezawodnie liczne swe oryginalności, są niezmiernie ciekawe i w większości wypadków miłe dla życia, to mimo wszystko stanową one jakby nieznaczny tylko dodatek do tej wielkiej republiki, która przedstawia sobą nietylko niebywałą potęgę, ale i swego rodzaju unikat niemal pod wszystkimi względami.

Jest to przedewszystkiem kraj olbrzymi, rozpościerający się wśród wszelkich klimatów, opierający się wielu tysiącami kilometrów wybrzeży o oba oceany, a temsa-

mem posiadający wszystkie drogi świata w swych rękach. Kraj to niebywale urodzajnych gleb, lasów odwiecznych, olbrzymich, nieprzebranych bogactw kopalnianych, niewyczerpalnych sił natury. Kraj tak wszechstronnie obdarzony przez Opatrzność, jakgdyby był specjalnie przeznaczonym na centrum życia całej ludzkości.

Pomijając kolonje, Stany Zjednoczone pokrywają 9½ miljona kilometrów kwadr. ziemi, czyli, iż są niemal równe powierzchni całej Europy, a przeszło dwadzieścia razy większe od Polski; posiadają przytem zaledwie 120 miljonów ludności, czyli o przeludnieniu ich, w znaczeniu choćby Francji, jeszcze przez długie wieki mowy być nie może. Do czasu wielkiej wojny był to kraj pracy i kolonizacji, kraj wolności i jakby olbrzymia klapa bezpieczeństwa dla przeludniającej się Europy. Kierowały się tam krocie i miljony ludzi, szukających bądź poprawy bytu, bądź własnego kąta, bądź wreszcie uciekających przed absolutyzmami własnych czy obcych rządów, częstokroć sądów, ku swobodzie życia i myśli. Po wojnie rząd amerykański ścieśnił, a wreszcie zamknął drogę dla emigracji zubożałej Europy, opierając się nietyle na istotnym stanie rzeczy, ile na przyrodzonym egoiźmie swego narodu. Zresztą od samego początku istnienia wolnej Ameryki ciągnęły ku niej głównie rzesze biedaków, najemników, robotników rolnych, rzesze o bardzo niskiej kulturze, a jednocześnie dzieci tego bezmyślnego, głupiego XIX wieku, — przesiąknięte racjonalizmem i materjalizmem tłumy.

Z niebywałą szybkością rosła liczebnie ludność Ameryki, przybywało tym ludziom na zamożności, praca jednocześnie robiła się coraz to wydajniejszą, intensywniejszą, czas bowiem naglił, trzeba było jaknajprędzej wydzierać ziemi jej naturalne bogactwa, by się niemi nie potrzebować dzielić z wciąż nowymi przybyszami, rosła więc i mechanizacja pracy, olbrzymiały zdobycze techniki, z nieznaną w historji szybkością powstawały nowe olbrzymy-miasta, kolosy-fabryki, giganty-przedsiębiorstwa, lecz żaden czyn-

nik nie sprzyjał równoległemu rozwojowi kultury ducha, tłumy te bowiem bądź były pozbawione wiary, bądź żyły w szablonie purytanizmu lub fałszu „etyki świeckiej“. Dla ducha ludzkiego brakło tu miejsca i cała ta coraz bogatsza, zasobniejsza ludność nurzała się stale w „uspołecznieniu chamstwa“.

Przyznać jednak należy, iż do wojny Stany Zjednoczone zdawały sobie sprawę ze swej pozycji dorobkiewicza światowego, wiedziały, iż są zasobne, czynne, rzutkie, ale niekulturalne. Z tej to też epoki datują się setki miljonowych fundacji na cele naukowe, uniwersytety i bibljoteki, pracownie, laboratorja i muzea. Bogacze zwiedzali „stary świat“ i starali się przeszczepić jego kulturę do swojej młodej ojczyzny, robili to zresztą tak, jak każdy parwenjusz, rzucając miljonami, siłą wagi złota przypinali „kwiatek do kożucha“!

To też do czasów wojny światowej w całej umysłowości europejskiej, we wszystkich utworach literackich, na scenach teatrów, ów „wujaszek Sam“ występuje zawsze jako poczciwy, energiczny, rześki, bogaty parwenjusz, dobroduszny nietyle nawet jako „wujek Sam“, ile „wujcio Cham“.

Była to jednak idylla i jako taka trwała krótko, tak, jak sen letniej nocy, bo nadeszła wojna! Ów pierwszy dojrzały owoc bezbożnej, więc i bezmyślnej cywilizacji liberałów europejskich! Amerykę wojna ta zastała w pełnym rozwoju, a że ideał tego kraju zawiera się całkowicie w monecie, zwanej dolarem, więc i zainteresowanie Amerykan w wojnie obracało się również tylko dokoła dolara. W Europie lały się strugi krwi, gromadziły się gruzy na ruinach, a dolar amerykański rósł, rosły z niebywałą dotychczas szybkością zapasy złota z całego wijącego się w ogniu walk świata, płynęło to złoto, rzęsiście krwią zbroczone, do kieszeni wuja Sama...!

Zyski amerykańskie w wojnie europejskiej znacznie przekraczają granice tego, co sobie o nich nawet dość

uświadomieni ludzie wystawiają, zyski te bowiem płynęły literalnie ze wszystkich stron i we wszelkich dziedzinach przemysłu i handlu. Wrodzony Amerykanom merkantylizm pławił się wprost w nadmiarze ofert i zapotrzebowań, w powodzi dosłownie „złotych“ interesów. To też w niezmiernie stosunkowo krótkim przebiegu czasu, olbrzymia większość zapasów złota całego świata znalazła się w skarbcach banków amerykańskich.

A jednak, mimo wyczerpania sił, mimo zubożenia ogólnego, walka w Europie trwała dalej, stawała się coraz bardziej bezwzględną, można twierdzić, że ślepą i wreszcie zaczęła nawet dotykać interesów amerykańskich. Z drugiej strony, kierownicy trustów zaczęli się obawiać, iż całkowite zniszczenie cywilizowanego świata może ich pozbawić „klijentów“ i nabywców. Te to dwie przyczyny stanowiły jedyny prawdziwy powód, iż wreszcie rząd Stanów Zjednoczonych postanowił „zakończyć“ rzeź światową i po krótkiem, ale niemniej charakterystycznem wahaniu, której to stronie należy pomóc, zdecydował się rzucić wszechpotężny dolar, no i kilkadziesiąt tysięcy żyć ludzkich, na szalę „Ententy“. Wszystko pozatem było frazeologją, zresztą bardzo entuzjastycznie, uczuciowo i doktrynersko odczutą przez tłum amerykański oraz szereg uczuciowo nastrojonych jednostek.

Wstąpienie Ameryki w szranki bojowe bynajmniej nie zmniejszyło paskarskiego charakteru pomocy amerykańskiej i „narodowy“ egoizm w niczem nie został uszczuplony.

Ameryka przystąpiła do wojny tak, jak przystąpowała do wszelkich swoich wielkich przemysłowo-handlowych imprez: z rozmachem, komfortem, tayloryzacją pracy, wyliczeniem. Możemy podziwiać ten rozmach, te cztery miljony żołnierzy, stworzonych ad hoc, uzbrojonych, umundurowanych, wyćwiczonych, u b e z p i e c z o n y c h n a w y p a d e k k a l e c t w a l u b ś m i e r c i i przewiezionych w przeciągu niespełna jednego roku na

drugą stronę oceanu; możemy podziwiać wewnętrzną organizację tego kraju podczas wojny, podziwiać zwiezienie na plac boju, w ciągu też kilku miesięcy, tak wielkich zapasów żywności, amunicji i machin wszelakich, że z nich wszystkie sprzymierzone armje nawet większej połowy zużyć nie były w stanie. Ale trudno nie wzdrygnąć się na widok braku wszelkiego ideału, nie związanego bezpośrednio z interesem wuja Sama! Egoizm i paskarstwo, które wykazała Ameryka pod koniec wojny i przy jej likwidacji, jeszcze większem zdumieniem napełniają dusze, trochę mniej materjalnie myślących europejczyków. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, w swojej bezmiernej zarozumiałości i sobkostwie, są święcie przekonane, iż to one całkowicie wojnę wygrały, że to one są jedynymi zwycięzcami, że im jedynie należą się laury i że wykazały tu niezbicie, do jakich to „wyżyn“ sięga ludzkość Nowego Świata, czem jest właściwie mocarstwo Złotego Cielca. Stany Zjednoczone wykazały też naocznie, co może w najlepszym wypadku i najbardziej sprzyjających okolicznościach stworzyć i dokonać — demokracja.

Georges Duhamel w swojej książce o Ameryce pod tytułem: „Scènes de la vie future“, którą tu parę razy zacytujemy, powiada, między innemi, iż kraj ten jest dzisiaj obrazem zorganizowanego... piekła, nie posiada jednak Aligierego, by jego kręgi wyśpiewał!...

Przyjrzyjmy mu się sami nieco bliżej, a w tym celu, idąc szlakiem turysty, zacznijmy od przyjazdu.

Gdy się wybieramy w podróż zagranicę, niemile nas zawsze dotyka uciążliwa manipulacja paszportowa, wizy, stemple, znaczki i zaświadczenia, bieganie po urzędach i konsulatach, wyczekiwanie w ogonkach, a również nie należy do przyjemności podróży sam przejazd tej lub innej granicy, ze wszystkiemi formalnościami celnemi i paszportowemi. Ale turysta, który już zwiedził wszystkie kraje Europy, Afryki lub Azji, wszystkie republiki Południowej Ameryki, nie ma jeszcze pojęcia o tem, czem bywa przyjazd do

krainy Wolności, a w każdym razie kraju, którego główny port oświeca pomnik tej mitycznej pani!

O ile się jeszcze jedzie wprost z Anglji do New Yorku, jest się przytem Anglikiem i posiada wszelkie papiery, pozwolenia i polecenia, a pozatem podróżuje się pierwszą klasą, to chociaż ilość formalności granicznych amerykańskich jest wprost niebywałą, można się z niemi pogodzić, bo wszystko razem dłużej, jak trzy do sześciu godzin, nie potrwa. Biada jednak podróżnemu klasy trzeciej lub udającemu się do Stanów Zjednoczonych przez inne, np. południowe porty! Demokratyczna wolność amerykańska ukaże mu się tu w całej swej piękności i człowiek taki ma zawsze dużo szans, iż stopa jego nigdy na tym rajskim nie stanie lądzie...

Jeszcze zdala od wybrzeży, na pokładzie zbliżającego się dopiero okrętu, musi on złożyć cały szereg piśmiennych deklaracji, coś w rodzaju krzyżowych pytań śledztwa, wszystko pod przysięgą i w deklaracjach tych obiecać, iż dłużej, niż sześć tygodni, nie spędzi w Ameryce, że nie poszukuje ani pracy, ani zarobku, nie będzie występować przeciw zwyczajom, ustawom, przepisom i moralności kraju; musi stwierdzić, iż niema żadnej choroby osobistej, nabytej lub dziedzicznej, wykazać, jakie są jego stosunki majątkowe, rodzinne, poglądy polityczne i społeczne lub religijne, a co najważniejsze, iż nie wiezie ze sobą żadnych wyrobów, które Amerykanie wytwarzają, mają zamiar wyrabiać lub mogliby wyrabiać. Naruszenie w czemkolwiek złożonej deklaracji grozi w przyszłości więzieniem i natychmiastowem wydaleniem z kraju.

Przybywający turysta tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach i przy silnej protekcji może otrzymać pozwolenie na przedłużenie swego pobytu ponad 6 tygodni.

Gdy się zakończyło tę pierwszą formalność, wciąż jeszcze zdala od lądu, następuje dezynfekcja okrętu i rzeczy pasażerów, a równolegle z nią rewizja w poszukiwaniu alkoholu, której zbliżenie się powoduje wyraźne „rozwese-

lenie“ załogi i pasażerów, niszczących zawczasu pozostałe trunki. Przybywszy do portu, statek poddany zostaje bardzo skrupulatnej rewizji celnej i sanitarnej. Tę ostatnią trudno porównać z czemś analogicznem w Europie w czasach wielkiej wojny, odbywają się przytem sceny, które zaliczyć można do farsy: ustawiają np. pasażerów szeregiem wzdłuż pokładu i doktór, przechodząc przed takim „frontem“, zakłada każdemu z nich termometr do ust, a gdy już wszyscy stoją, ssąc poważnie te szkiełka, doktór powraca i kolejno wyjmuje termometry, bada język, błony oczu, uszy i gardła, poczem przechodzi po raz trzeci i zadaje pytania intymnego charakteru, kontrolując je na podstawie deklaracji i zrobionych przedtem uwag...

Śmiać się nie wolno, bo pociąga to złą notę, a każde najdrobniejsze podejrzenie grozi dłuższym pobytem na wyspie Ellis Island, rodzaju kwarantanny-więzienia lub nawet zupełnem zabronieniem wjazdu.

Dopiero teraz nadchodzi rewizja paszportowo-prawna z nową indagnacją, krzyżowemi pytaniami, wykazywaniem swej genealogji i pokrewieństwa, oraz świadectw moralności.

Wszystkie te przyjemności odnoszą się do normalnych turystów, pasażerów pierwszej lub drugiej klasy, gdyż podróżni klasy trzeciej i emigranci muszą przejść przez niedolę Ellis Island, chociażby byli znanymi i poważnymi obywatelami Europy. Namacalny tego dowód odczuła na sobie znana powieściopisarka Dawson Scott, która dla przeprowadzenia studjów umyślnie podróżowała klasą trzecią i pomimo, iż posiadała najwyższe zaświadczenia ambasady brytyjskiej oraz szereg listów polecających, musiała przejść przez to istne przedpiekle.

Możnaby mieć wrażenie, że Stany Zjednoczone obawiają się jakiejś strasznej zarazy, że chronią swój kraj przed najazdem barbarzyńców, czy zbrodniarzy, gdy tymczasem jest to tylko wynikiem szablonowego systemu myślowego

Amerykan, — biurokratyzmu, purytanizmu i niebywałej pogardy dla wszystkich i wszystkiego, co nie amerykańskie.

Zresztą, raz wypuszczony na ląd cudzoziemiec, jest zawsze gościnnie i uprzejmie witany, a jeżeli przytem nosi strój duchowny, to spotyka się na każdym kroku z niebywałym w Europie szacunkiem. O ile władze są sztywne i niemiłe w zetknięciu z cudzoziemcem, o tyle prostym i sympatycznym jest stosunek z ludnością. Dziwna ta popozornie dwoistość postępowania ma swoje źródło w purytańskim gruncie cywilizacji północno-amerykańskiej, gdzie naturalna gościnność przymitywnej ludności kończy się nagle wobec reguł, pełnych sztywności, praw i rozporządzeń administracji. Zresztą o tej administracji wspomnimy jeszcze w dalszym ciągu, teraz przyjrzyjmy się bliżej samej ludności.

Mówiąc o Amerykanach, musimy sobie uprzytomnić, iż mówimy o ogóle, o masie ludności, — bo na te 120 miljonów mieszkańców istnieje i w Ameryce pewna elita umysłowa i społeczna. Elita ta, w większej części ściśle plutokratyczna, niemniej jednak mogąca śmiało zawodniczyć z inteligencją europejską, jest procentowo tak nieznaczną, iż tonie całkowicie w tłumie. Ów ogół, który nadaje przeciętny typ całości, różni się wielce od tego, cośmy przywykli uważać za kulturalną ludzkość.

Mężczyźni amerykańscy mogą być określeni jako „dorosłe dzieci“, bo jeśli gdzie, to właśnie w Ameryce słynny aforyzm Pope‘go: „dziecko jest ojcem człowieka“, w pełnem może być stosowany znaczeniu. Wszystkie cechy amerykańskiego dziecka spotykamy u dorosłego mężczyzny, a nie jest to wcale zbyt pochlebny obrazek.

Dzieci amerykańskie są bowiem nieznośne i najfatalniej wychowane; uważane za półbożków, nigdy nie strofowane i nie karane, robiące wszystko, co się im podoba, rosną w atmosferze zarozumiałości, pewności siebie, samowoli i brutalności, które to cechy towarzyszą im już przez całe życie. Mogąc bezkarnie wymyślać ojcu lub matce,

dlaczegóżby taki chłopak miał być uprzejmym dla starca, obcej kobiety, subjekta w sklepie lub przechodnia? Pali tytoń, o ile to żołądek znosi, bije się z towarzyszami, kiedy zapragnie, wyczytuje opisy wszelkich zbrodni w brukowcach, bawi się na ulicy do 12-ej w nocy, ryczy, jak dziki zwierz, tłucze szyby sąsiadom, a przytem ma pewność, że go za to żadna nie spotka kara. Dodać do tego wykształcenie szkółek i szkół, polegające głównie na sportach i najpraktyczniejszych, koniecznych wiadomościach życia, wykształcenie, prowadzone zawsze koedukacyjnie i wobec tego stojące na bardzo niskim moralnym poziomie -— a mamy już dorosłego mężczyznę. Życie obije mu trochę kanty, choćby z powodu identycznych współtowarzyszy, lecz główne cechy zostają nietknięte: Amerykanin jest grubijańskim i samowolnym. Jest on też dziwnie małokulturalnym: nic nie wie o swej własnej historji, jeszcze mniej o historji obcych narodów; literatura, sztuka, filozofja, wszelkie wyżej stojące nauki są mu całkowicie obce. Nie umie on nic z tych rzeczy i umieć nie pragnie, bo go wcale nie zajmują; gdy zachodzi potrzeba takich małomaterjalnych wiadomości, Amerykanin udaje się do „specjalisty", by otrzymać odpowiednio płatne informacje.

Amerykanin, wbrew temu, co o nim ogół europejski sądzi, jest mało inteligentnym, brak mu poprostu zmysłu inteligencji powszechnej, pozwalającej szybko się orjentować wśród nowych okoliczności, ale posiada dziwną inteligencję specjalną, możnaby to nazwać instynktem technicznym, zwróconą ku jakiejś jedynej sprawie i tu natychmiast osiąga maksimum rezultatu przy minimum wysiłku. Ponieważ nauka, rozwaga, badanie, myślenie, a tembardziej marzenie lub twórczość artystyczna, są objektami małowartościowymi w Ameryce, więc też Amerykanin woli całkowicie oddać się rutynie fachu, zaś resztę czasu spędza na zastosowanych do swej umysłowości rozrywkach ...

Jakim jest poziom inteligencji amerykańskiej, wykazuje nam przejrzyście następujący fakt: W styczniu 1927 r.

zarząd fundacji „Woodrow Wilson" ogłosił konkurs, do którego mógł stanąć każdy obywatel amerykański w wieku od 20 do 35 lat, stale zamieszkujący Amerykę; konkurs polegał na podaniu w broszurce, nie przekraczającej 2.000 słów, swego zdania o zmarłym prezydencie. Dwie pierwsze nagrody po 25.000 dol. i wiele mniejszych zachęcało ludność do wzięcia udziału w konkursie, czasu też dano sporo, bo całe dziesięć miesięcy.

Nadesłano przeszło 10.000 odpowiedzi i to przeważnie pochodzących od nauczycielstwa szkół, studentów uniwersytetów i ludzi „wykształconych". Rezultat zaś konkursu był taki, iż nikomu nie przyznano żadnej nagrody, zaledwie zdołano z tej masy utworów wybrać 44 sztuki najmniej złe, a i tych nie wydrukowano w całości, gdyż jury konkursowe orzekło, iż ani jeden z tych elaboratów nie mógłby być ogłoszonym bez ośmieszenia przed całym światem inteligencji amerykańskiej!

Amerykanin jest grubjaninem i próżno tam oczekiwać na słowo: „przepraszam", gdy się jest popchniętym lub na słowo: „dziękuję", gdy się obecnemu oddało jakąś dobrą usługę. Jest on brutalem nietylko poniekąd dziedzicznie, z powodu przeważnie niskiego pochodzenia i stałej walki o byt, ale i z zasady, czuje wstręt do wszelkiej finezji i delikatności życia.

Amerykanin jest egoistą, a chociaż jest to też cechą i niektórych innych ludów, choćby Anglików, to jednak w Ameryce egoizm wyniesiono na poziom cnoty narodowej! Pereat mundus, fiat Ego, może służyć za dewizę 99% ludności amerykańskiej.

Amerykanin jest próżnym, a słynny demokratyzm amerykański, poza swą cechą niekulturalności, jest — jak zresztą wszystkie demokratyzmy świata — pustym dźwiękiem, paradą zewnętrznej ekscentryczności, hasłem dla wiecu i dla naiwnych tego świata. Każdy Amerykanin przepada wprost za godnościami. Nie posiadając tytułów rodowych, stworzyli sobie tam specyficzną arystokrację,

tak przytem liczną, że aż wprowadza w zdumienie starą Europę. Liczba rodzin, wywodzących się od tych purytańskich rozbitków okrętu „Mayflower“, który w 1620 osiadł na mieliźnie wybrzeży Massachussets, jest wprost nieobliczalną, a przecież wiadomo, iż było ich tam zaledwie stu dwóch, z których najmniej połowa musiała wymrzeć z głodu w pierwszym zaraz miesiącu! Każdy domniemany potomek tych rozbitków tak jest z tego faktu dumnym, jakgdyby przynajmniej pochodził w prostej linji od Aleksandra Macedońskiego lub Juljusza Cezara!

Każdy Amerykanin musi należeć do jakiegoś klubu, loży masońskiej lub choćby bandy, aby móc nosić znaczek, ubierać się parę razy do roku w iście karnawałowe ozdoby lub otrzymać piękny tytuł: „Wielkiego Mędrca“, „Pana Uwielbianego“, „Najwyższego Dyktatora“ lub przynajmniej „Rycerza Łaski“. Istnieją też w Ameryce, wbrew równościowym teorjom prawdy demokratycznej, także i prawdziwe „honorowe“ ordery, dla których otrzymania należy zupełnie tak samo, jak dla członków Zakonu Maltańskiego, wyprowadzić bardzo ścisłą genealogję, w której musi się dowieść, że posiada się w prostej linji pradziadka, który był już, jeśli nie oficerem lub żołnierzem, to przynajmniej doboszem, albo ciurą obozowym w armji Washingtona, oraz... że się nie posiada ani kropli krwi żydowskiej w żyłach!!

Amerykanin jest też wielkim czcicielem i, można powiedzieć, „zbieraczem“ rekordów i aby go zainteresować swoją osobą, wystarczy osiągnąć jakikolwiek rekord. Może to być rekord, improwizowany z każdej dziedziny, bo poza championami sportowymi istnieje tam ogromna różnorodność recordomanów, np. co do tuszy, wagi, wzrostu, koloru włosów lub skóry, długości włosów lub brody, piękności i brzydoty, apetytu, tańca, snu, pijaństwa, wszelkich przejawów głupoty i błazeństwa. Ponieważ jednak każdy Amerykanin jest przedewszystkiem czcicielem złotego cielca, więc recordman, zarabiający na swym fachu miljo-

ny, jak np. bokserzy, staje się niemal półbogiem i takich mieszkańców amerykańskiego Olimpu znamy parę setek.

Amerykanin z zasady nie okazuje swych uczuć, jest więc rzeczą wielce nieodpowiednią ubolewać nad czyjąś żałobą (której się zresztą z reguły nie nosi) lub cieszyć się czyjemś szczęściem; wyjątek stanowią tu straty lub powodzenia danego osobnika w dziedzinie czysto finansowej.

Amerykanin wogóle źle jada, nie zna się na kuchni i tak jest pozbawiony smaku, jak słuchu i wszelkich zdolności artystycznych: najwyżej 25% całej ludności jada obiad, cała reszta zadawalnia się przegryzaniem przekąsek, zazwyczaj bułki z parówką i to jest przyczyną olbrzymiego rozpowszechnienia barów oraz miejsc, gdzie można dostać przekąski. Tak np. we wszystkich aptekach(!) sprzedają też przekąski i... książki, bo w Ameryce niema księgarni!

Amerykanin jest jednocześnie panem i ofiarą reklamy. Będąc nieukiem, pozbawionym zmysłu krytycyzmu, nie umie on zupełnie odróżnić „plew od ziarna" i daje się brać na lep każdej sprytniejszej reklamy, która też w Ameryce święci niebywałe tryumfy. Tu leży też główny powód rozprzestrzenienia się i powodzenia w świecie reklamy amerykańskiej, będącej poniekąd miernikiem zaniku inteligencji danego kraju.

Wreszcie — i tu dochodzimy do najciekawszego punktu tego przeglądu, — Amerykanin, wbrew temu wszystkiemu, co uparcie powtarza nieświadoma Europa, nie jest bynajmniej bogatym, przeciwnie, średnia zamożność amerykańska, biorąc pod uwagę drożyznę życia, jest niższą od średniej zamożności cywilizowanych krajów Europy! Przytoczymy parę cyfr dla uzasadnienia tego „rewelacyjnego" twierdzenia: Według ostatniego zestawienia Sekretarjatu (ministerjum) Skarbu, istnieje w Ameryce 11.000 miljonerów, czyli pozostałe 119,989.000 ludności nimi nie są. Z tych 11.000 wybrańców losu jest około 500, którzy po-

siadają miljon dochodu, a pomiędzy tymi multimiljonerami 14 szczyci się dochodem wyższym — i to znacznie — od miljona i tych nazywamy miljarderami.

Ciekawszą jest jednak dla nas statystyka „tamtych“: tak więc 2.8% ludności posiada dochód niższy od 50.000 dol., 5% niższy, niż 10.000 dol., a 92% niższy, niż 5.000 dol. Wśród tego już olbrzymiego tłumu zarobki 70% nie przekraczają 1.500 rocznie, a dodać należy, iż 49% starców żyje w Ameryce z zapomóg społecznych! Jeżeli teraz porównamy drożyznę życia w Europie i Ameryce, gdzie szklanka herbaty i bułka z kiełbasą kosztuje dolara, to spostrzegamy, iż owe 119 miljonów niemiljonerów bynajmniej nie opływa w nadzwyczajne dostatki. Ameryka bowiem jest krainą złotego cielca, a pod panowaniem tego bożka największe istnieją różnice społeczne i majątkowe, najbardziej wybitne kontrasty.

Jako plusy charakteru amerykańskiego należy podnieść, iż są oni wybitnie pracowici, wytrwali w trudzie codziennym, nie zrażają się największemi przeciwnościami, pełni pomysłowości w zdobywaniu wciąż wymykającego się dolara, sto razy rozpocząć gotowi pracę od samego początku, wierząc niezachwianie, iż znajdą kiedyś okazję i zdobędą majątek.

Kobiety w Ameryce są przeważnie ładne, co może jest wynikiem niezmiernie szerokiego skrzyżowania narodowości, a nawet i ras. Ta powszechna niemal piękność Amerykanek uderza każdego turystę. Pozatem jednak są one niemal równie źle wychowane, jak i płeć brzydka, z tą jeszcze fatalną cechą, iż zdają się być pozbawione normalnej wstydliwości niewieściej i dążą wyraźnie do stałego pokazywania się ludziom w najprymitywniejszych strojach. Pyjama lub trykot kąpielowy, to główne odzienie Amerykanek, a maniery ich mogą być porównywane z temi, z jakiemi Europejczyk spotyka się tylko w nocnych kabaretach! Przytem żują gumę, palą i gdy tylko mogą, piją, w niczem nie ustępując mężczyźnie!

To upodobanie w pokazywaniu się publicznie w najobciślejszych i możliwie najkrótszych trykotach przejawia się, między innemi, w bezsensownym zwyczaju ciągle powtarzających się głosowań na przeróżne „Miss Chicago", „Miss Los Angelos", „Miss Ohio" lub inne „Miss piękności", podczas których przed tysiącznemi rzeszami widzów defilują najrozmaitsze Amerykanki, mające pretensje do pięknych linji; defilują tam z całym spokojem, bez śladu zażenowania, bez cienia wstydu, w najprymitywniejszych trykotach, w pełni słońca lub sztucznych świateł. Należy też pamiętać, iż w tym kraju purytanizmu i kwakrów kandydatki na tego rodzaju konkursie muszą się wykazać urzędowemi świadectwami moralności i dobrych obyczajów!

Ideałem „zajęcia" przeciętnej Amerykanki jest flirt, a właściwie, jak się to tam nazywa, „romance" i normalnem świątecznem widowiskiem są tysiące czułych par, spacerujących, jeżdżących i bawiących się razem. Sprzyja temu, od najmłodszych lat, system koedukacyjny szkół, a moralność amerykańska jest pod tym względem więcej niż pobłażliwą. Zresztą Amerykanie, między wielu innymi pomysłami, głowią się obecnie nad projektem niejakiego doktora Lindsey'a, pragnącego uprawomocnić w kodeksie państwa t. zw. „Companionate marriage", czyli „Koleżeńskie małżeństwo", specjalnie... dla młodych ludzi! Oto, bez wchodzenia w szczegóły, trzy podstawowe „zasady" tego zupełnie na serjo omawianego projektu: niema dzieci, niema wzajemnych zobowiązań finansowych i rozwód na zawołanie, ile się razy zechce!

Pozatem? Kobieta w Ameryce posiada wszelkie prawa wyborcze; widzieliśmy nawet kobiety w roli gubernatorów stanów w Texas i Wyoming. Zresztą polityka mało ją pociąga, woli sport, chociażby najbrutalniejszy, jakim jest niezawodnie boks. Rzadkością są tam kobiety o cechach prawdziwie niewieścich: matki, pani domu, kierowniczki i korony ogniska domowego, bo też to, co my nazywamy życiem rodzinnem i ogniskiem domowem, stało się już rzad-

kością w krainie dolara. Dodać też należy, iż równie, jak mężczyzna, kobieta amerykańska odznacza się energją, wytrzymałością w walce o byt, instynktem zbiorowych wysiłków i darem... wymowy. Każdy Amerykanin czy Amerykanka, bez względu na wychowanie i poziom inteligencji, jest urodzonym mówcą, prelegentem z natchnienia, może mówić każdej chwili bez przygotowania, przed licznymi słuchaczami i bez śladu „tremy“.

Mówiąc o ludności Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, musimy w osobnym dziale powiedzieć parę słów o murzynach, którzy, chociaż stanowią 13% całej ludności, należą jednak do całkowicie odmiennej kategorji i o których amerykańscy twórcy idei „obrony mniejszości narodowych“ wolą wogóle wcale nie wspominać!

Ale historja nie zapomina! Nie można będzie wymazać z jej kart faktu, iż właśnie pod hasłem równouprawnienia murzynów toczyła się w Ameryce przez przeciąg czterech lat, od 1861 do 1865 r., jedna z najbardziej zaciętych i bezwzględnych wojen! Trudno też będzie usunąć z literatury rozczulający do łez, a fałszywy paszkwil pod nazwą „Chaty wuja Toma“, który tę wojnę częściowo usprawiedliwił. Nie miejsce tu opisywać przebieg tej walki, rzeczywiste jej podłoże, a nawet wskazać na faktycznych sprawców i organizatorów, ale stwierdzamy, że cały świat, przyjąwszy „na wiarę“ oświadczenie prezydenta Lincolna, chce być dotychczas przekonanym, iż chodziło tylko o wyzwolenie poniewieranych niewolników z opresji białych (dodajmy w nawiasie: katolickich, a zagadnienie odrazu zyska na przejrzystości) plantatorów południowych Stanów *).

Od tego czasu minęło zgórą lat 65, a więc już pełne dwa pokolenia wyrosły wśród powszechnej „wolności“ demokracji amerykańskiej. Jakiż to dziś widzimy tam obraz?

W Stanach południowych, tych właśnie „sudystów“

---

*) Na twierdzenie Szanownego Autora — resp. źródeł, z których je czerpie — w tym ustępie nie możemy zgodzić się całkowicie bez pewnych zastrzeżeń.

i gnębicieli murzynów, ludność czarna, nieraz bardzo liczna, bo do 80% mieszkańców dochodząca, jest traktowana jako rasa niższa, całkowicie oddzielona od zetknięcia z białymi (osobne wagony, restauracje, kina, hotele etc.), ale z drugiej strony bardzo ludzko, patrjarchalnie i jest zupełnie ze swej doli zadowolona. Posiadając wszelkie prawa wyborcze, zupełnie z nich nie korzysta, pozostawiając białym pełny głos w zarządzie kraju i uważając tych białych za swych dobrych pracodawców i panów.

Natomiast w Stanach północnych, u „nordystów", mimo, iż murzynów jest tam znacznie mniej, są oni traktowani z obłudą, ściśle purytańską. Więc wolno im bywać wszędzie, ale biada restauracji, teatrzykowi, kinu, a nawet aptece lub sklepikarzowi, w którychby murzynów przyjęto, gdzieby ich jako klijentów uważano; na drugi dzień stracą ci kupcy, czy owe zakłady, całą swą białą klijentelę. Wolno tu murzynom zajmować wszelkie stanowiska i wszędzie starać się o pracę, lecz biada biuru, urzędowi czy zakładowi, któreby murzyna na inną, niż woźnego lub portjera przyjęły posadę; stracą one natychmiast i klijentów i współpracowników. Podanie przez białego ręki murzynowi, chociażby najbardziej kulturalnemu, jest uważane za czyn gorszący. Biada tam murzynowi, który popełni jakiekolwiek przestępstwo, bo chociaż sądy federalne stosować doń będą literę prawa narówni z białymi, to jednak zawsze zastąpi je wprzód lub nawet podczas odbywania kary, samoczynny sąd Lyncha lub oddział Ku-Klux-Klanu!! Tak więc, po 65 latach sprawa murzyńska o tyle posunęła się naprzód, że jest ich obecnie w Stanach Zjednoczonych już nie dwa, ale 15 miljonów i że stosunek do białych stał się bardziej zawiłym, wzrosły nienawiści rasowe, starcia robią się coraz to gwałtowniejsze.

Nad rozwiązaniem zagadnienia murzyńskiego pracują tam nadaremnie całe pokolenia, codziennie zastanawiają się nad niem dziesiątki i setki działaczy społecznych, problemat ten zdaje się być węzłem gordyjskim, którego nawet mie-

czem nie można już rozciąć. Dla rozwiązania sprawy współżycia odmiennych ras konieczne są przedewszystkiem wyższe cechy duchowości ludzkiej, głębsze rozumienie praw Bożych, psychologja chrześcijańska, umysłowość, opierająca się na etyce, szerokie horyzonty myśli i uczuć. Sam dolar, materjalizm, dobrobyt i sztywność protestancka nietylko, że sprawy tej nie rozwiążą, lecz, jak to w praktyce widzimy, plączą ją dalej i zaprawiają hipokryzją.

Aby nie pominąć bardzo ważkiego czynnika w demografji amerykańskiej, musimy też wspomnieć o żydach, o ile bowiem Amerykanin wystrzega się zetknięcia z murzynem, o tyle łatwo współżyje z żydem, z tą tylko różnicą, iż ten to ostatni posiada prerogatywy rasy „wyższej".

Emigracja żydowska w Ameryce, licząca do 4-ch miljonów głów, chociaż posiada swoje dobrowolne getto, w którem zupełnie tak, jak u nas lub w Amsterdamie, tłoczy się krociowy, brudny, nędzny, ruchliwy i krzykliwy tłum semicki, liczy pozatem bardzo wielką ilość żydów bogatych, „zamerykanizowanych" i trzymających w swych rękach lwią część wszystkich prawdziwie złotodajnych przedsiębiorstw, oraz stanowiących absolutną większość wśród wyżej wspomnianych 11.000 „miljonerów i miljarderów". W tej krainie integralnego materjalizmu czują się żydzi, jak u siebie w domu, Amerykanin zaś aryjskiego pochodzenia, widząc w nich kierowników i twórców wszelkich trustów, widząc w ich rękach przelewające się potoki złota, jaknajskwapliwiej i najpokorniej poddaje się pod to kierownictwo. Aby się trochę bliżej zaznajomić z potęgą żydostwa w Ameryce, należy przeczytać świetną pracę H. Forda p. t. „Żyd Międzynarodowy"; do niej też czytelnika odsyłamy.

Rzuciwszy wstecz okiem na całokształt ogromnej większości społeczeństwa amerykańskiego, widzimy, iż różni się ono znacznie od tego, co uważamy za typ cywilizacji europejskiej; społeczeństwo to zdaje się być pozbawionem wszelkich wznioślejszych polotów duchowości, zaś

materjalizm życiowy i pozytywizm zapatrywań stawiane tam są świadomie na piedestale cnót narodowych. Brak kultury, często ordynarność obyczajów, sięgają tam najwyższych nawet warstw, a niskie instynkta ludzkie, pokryte płaszczykiem pruderji protestantyzmu, rozwijają się zupełnie swobodnie.

Na tej to dziwnie niewdzięcznej demograficznej niwie wyrasta niespodziewanie dla badacza, dziwnie bogaty i stanowczo w całym świecie najwyżej stojący krzew, a jest nim — wielka prasa amerykańska. Jak słusznie powiada L. Lehman, w swoim wielkim wywiadzie o Ameryce, trafiamy tu w dziedzinę wyjątkową, nieprawdopodobną, nigdzie nie spotykaną. Mówimy tu naturalnie tylko o tej wielkiej, niezależnej amerykańskiej prasie, bo i tam istnieje bardzo rozpowszechniona prasa rewolwerowa i tam żeruje na żądzach ludzkich setki pisemek, karmionych skandalem, pornografją lub szantażem; ale jest to wyraźny brukowy odłam, który nie śmie nawet sięgać w dziedzinę wolnej prasy.

Dla inteligentnego człowieka prasa amerykańska stanowi źródło niewyczerpalnej przyjemności, bezustanną ferję myśli i pojęć, wszechbarwną, olbrzymią, niebywale różnorodną ucztę umysłową i przedstawia mu codziennie ścisły, jasny, dokładny obraz życia całej ludzkości. Dziennik amerykański nie zadawala się tem, iż jest wzorem informacji bieżącej, pewnej i szybkiej, coby już było samo przez się wielką rzeczą, ale posiada też zawsze zapewnioną współpracę najwybitniejszych jednostek wśród inteligencji światowej. Niema wielkiego uczonego lub wynalazcy, filozofa, głoszącego nowe tezy, pierwszorzędnego pisarza lub męża stanu, niema działacza w świecie społecznym, artystycznym, czy naukowym we Francji, Anglji, Italji, Niemczech, Rosji lub Japonji albo Turcji (o Polsce, mimo, że żyje tam sporo miljonów Polaków, mało stosunkowo mówią), któregoby nie skaptowały dzienniki amerykańskie dla wyłożenia swych myśli na ich łamach!

Te wielkie dzienniki amerykańskie stanowią same w sobie oddzielną, śmiało rzec można: pierwszą klasę wśród prasy światowej i największe pisma zachodniej Europy wyglądają wobec nich, jakby pisemka dla dzieci. Pisma te, o wielkim, arkuszowym formacie i drobnym, ale bardzo czystym i wyraźnym druku, posiadają normalnie po 30 do 50 stron w dni powszednie i 120 do 200, a nawet więcej w dni świąteczne i na ten olbrzymi materjał nigdy niema więcej, niż 30% ogłoszeń, co, jeśli porównamy z naszymi „wielkimi" dziennikami, w których na jeden zjadliwy, albo nudny artykuł, znajdziemy dziesięć stron nekrologów lub reklamy, jest zdumiewająca mało.

Pozatem pisma amerykańskie rozumieją, iż należy treść dziennika segregować na wyraźne działy i nigdy się tam nie plączą wiadomości polityczne lub recenzje literackie z reklamą pigułek żołądkowych, albo adresami lekarzy „specjalistów".

Biorąc statystycznie ogół prasy, Stany Zjednoczone posiadają 2.350 dzienników, 12.950 tygodników i 3.700 miesięczników w samym tylko języku angielskim, pozatem istnieje bardzo duża prasa przeróżnych narodowości, zamieszkujących ten kraj. Prasa ta drukowaną jest w 24 językach i składa się z przeszło 130 wielkich dzienników i około 400 tygodników i miesięczników. Istnieją tam np. 22 dzienniki niemieckie, 18 polskich, 11 żargonówek, 10 włoskich i 10 francuskich. Oto dla orjentacji potęgi choćby tylko tej „mniejszościowej" prasy, parę cyfr:

Żargonówki	580.000	czytelników	
Niemieckie	380.000	"	
Włoskie	370.000	"	
Polskie	350.000	"	
Węgierskie	90.000	"	
Francuskie	70.000	"	
Greckie	70.000	"	
Japońskie	65.000	"	i t. d.,

przyczem najmniej biją cztery dzienniki chińskie, bo tylko 18.000 egzemplarzy, jest to jednak wystarczająca ilość dla zapewnienia zupełnie dobrego poziomu egzystencji dla tych pism.

Cała prasa amerykańska, jak zresztą wszelki tutejszy przemysł, jest ściśle standaryzowaną, jednolitą, wzbudzającą zaufanie, wybitnie informacyjną, wychowawczą w swych tendencjach, wystrzegającą się rozpowszechniania blagi, błazeństwa, skandalu, oszczerstwa i brudnych napaści na przeciwników.

Średnio na normalne 30 stron tekstu danego dziennika znajdujemy około 10 stron, poświęconych, o ile możności, pewnym i sprawdzonym, a zawsze świeżym informacjom z całego świata, kilka stron zajmują wydarzenia sportowe, kilka wiadomości giełdowe i świetny dział handlowy, jedna lub więcej poświęcona jest teatrom i kinom, parę licznym amatorom radja, po jednej automobilizmowi, nieruchomościom, rozkładom jazdy okrętów i pociągów, życiu towarzyskiemu, a koniecznie też i fachowym sprawom dziennikarstwa. Numery świąteczne posiadają tenże rozkład, tylko znacznie rozszerzony, a pozatem wspaniałe działy: literacki, obejmujący cały świat, dalej naukowy, polityczny, filozoficzny, których realna wartość jest wprost zdumiewająca. Mają wreszcie kilka stron kolorowanych, zwanych „comics“ t. j. humoru, wyjątkowo dziecinnego i płytkiego, ale wymaganego przez całą publiczność.

Zdumiewającą wprost dla Europejczyka jest niezależność tej prasy, jej spokój w sądach i ocenie wypadków, bezwzględna prawość obrony danych kierunków, jej bezstronność w ocenie najzaciętszych przeciwników, uznawanie własnych błędów i sprawiedliwe ocenienie zasług wrogiego kierunku!.. Wszystko to jest tak dalekiem od tego, do czego nas nasza prasa przyzwyczaiła, że zdaje się być bajką lub marzeniem...

Ale tu następuje iście amerykański efekt: ta cała wspaniała prasa pozostaje jakby stałym paradoksem wśród

życia amerykańskiego i publiczność czyta ją w całkiem swoisty sposób. Więc przedewszystkiem sporty i humor nigdy nie są opuszczane, co zaś do reszty, to ci, co grają na giełdzie, czytają ten dział, posiadacze terenów rzucą okiem na dział nieruchomości, rzadkim już jest czytelnik, który przejrzy kina, radjo lub teatr i... na tem koniec! Wszystko, co najcenniejsze w dzienniku: informacje ze świata, polityka, literatura, sztuka, nauka — pozostaje tylko dla nielicznych „zagranicznych" amatorów. Publiczność amerykańska czytać swojej prasy nie umie i nie interesuje się nią wcale, a prasa na publiczność nie jest w stanie wywierać swego bezwzględnie dodatniego wpływu.

Istnieje natomiast w Ameryce odłam niewielki prasy, zwany popularnie „prasą żółtą" — do której należą też i 24 dzienniki, prowadzone przez Wiliama Randolpha Hearsta — prasy typowo brukowej i szantażowej, która jest niestety bardzo poczytną właśnie wśród szerokich mas. Oddać tu jednak należy sprawiedliwość, iż żaden, za porządnego człowieka uważający się Amerykanin, nie weźmie tych pism do ręki, nawet dla próżnej ciekawości.

Na tem zakończymy ten raczej ogólny rzut oka i w drugiej części przyjrzymy się niektórym przejawom życia amerykańskiego w jego szczegółach, zaczynając od życia robotnika.

(d. n.). **Józef Tyszkiewicz**

KATOLICYŻM A POLITYKA.

WSTĘP.

Przez kraj przepłynęła burzliwa fala politycznej walki o mandaty, pozostawiając, niezależnie od zwycięstwa tych czy owych, osad goryczy, zawiedzionych nadziei politycznych i niezadowolenia.

Po każdej takiej rozgrywce wyborczej, która zwykle stanowi punkt kulminacyjny życia politycznego, przychodzi czas na refleksje. W kraju o przeważającej ludności katolickiej — niestety katolicyzm nie zaznaczył się w sposób należyty w przebiegu wyborów i nie zaważył na charakterze tego ważnego momentu politycznego.

Wszystko to świadczy jeśli nie o całkowitej ignorancji, to w każdym bądź razie o dużym chaosie i dezorjentacji w poglądach na stanowisko katolików wobec polityki i na rolę katolicyzmu w życiu publicznem.

Są przecież tacy, którzy wręcz, prosto z mostu, oświadczają, że katolicyzm niema nic wspólnego z polityką. Z miną patentowanych teologów głoszą oni, że religja powinna zasadniczo wziąć rozbrat z polityką, bo polityka to fałszywa gra:

„Co ma wspólnego ołtarz z urną wyborczą. To nie wypada. Obniża się powagę religji!“ — wołają.

Mają oni o tyle rację, że wpływ religji na życie polityczne musi odbywać się w sposób, nie uwłaczający jej powadze, w zasadzie przecież wpływ ten jest nietylko możliwy, ale wręcz potrzebny i konieczny.

Są inni, którzy znów ukuli sobie z katolicyzmu miecz do generalnej rozprawy z przeciwnikiem politycznym i, wolni od skrupułów, szermują nim z cynizmem zuchwalstwa.

Istotnie, katolicyzm „polski“ przedstawia wiele do życzenia. W czasie niewoli utożsamiony z pojęciem narodu, zakrzepł nasz katolicyzm w ramach swoistego patrjotycznego utylitaryzmu, niepostrzeżenie tracąc swą treść istotną i przekształcając się w formę manifestacji politycznej. Z tego też punktu widzenia traktowany był przez polityków, jak np. Romana Dmowskiego. Czapkowanie przed kościołami, śpiewanie Boże coś Polskę, niedzielne nabożeństwo, czy nawet spowiedź Wielkanocna na intencję „Polonia Resurgenda“ — to wszystko, wbrew pozorom, wykoszlawiło jednak w narodzie ducha prawdziwej religijności, zrobiło z religji „ancillam politicae“ z prawdziwą szkodą dla dusz.

To prawda, że próg każdego Kościoła był jednocześnie twierdzą polskości, że setki kapłanów powędrowało na Sybir. Polskie kazanie, polska pieśń religijna były jedyną nieraz szkołą języka i poczucia obowiązków obywatelskich, a kapłan jedynym ambasadorem Rzeczypospolitej przed Bogiem i ludźmi.

Płynące z zachodu prądy umysłowe, pozytywizmu i materjalizmu, poczęły oddziaływać na inteligencję, która obojętniała religijnie. Jednak nie mogła się ona — naogół biorąc — zdobyć na wyraźną walkę z religją, widząc w niej czynnik polityczny i społeczny, utrzymujący masy ludowe w tak pożądanem zwłaszcza patrjotycznem napięciu.

W ten sposób stosunek pewnej części inteligencji polskiej do katolicyzmu stawał się wprost nieszczery i obłudny. Zachowywała ona jeszcze pozory religijności — „aby świecić przykładem ludowi“ — jednocześnie duchem coraz bardziej będąc zdala od Kościoła. Wkrótce z prawdziwej religijności nie zostało wiele więcej od zwyczaju niedzielnego spaceru na „próżniaczą mszę św.“ i dorocznej choin-

ki na Boże Narodzenie oraz objadania się aż do niestrawności na Wielkanoc, jak to napiętnował St. Brzozowski.

Tam nawet, gdzie religijność płynęła ze szczerych pobudek serca, brakło rzetelnego wyrobienia katolickiego, uświadomienia w prawdach wiary, znajomości podstaw nauki katolickiej. Wielkie przemiany, jakie się w epoce panowania wielkiego papieża Leona XIII dokonały w zakresie myśli katolickiej, pozostały niemal zupełnie poza sferą świadomości znacznej części polskiej inteligencji. Byliśmy typowymi przedstawicielami — jakto określił ks. Metropolita Sapiecha — „de la foi de charbonnière".

Tkwiliśmy w ten sposób beznadziejnie w zdawkowej religijności, karmiącej się źle zrozumianą tradycją. Z katolicyzmu został nam tylko frazes, którego używaliśmy zamiast serwetki do otarcia ust po „patrjotycznej biesiadzie".

Również i religijność naszego ludu, jakkolwiek szczersza i bardziej odruchowa, daleką była od ducha katolickiego. Lud nasz — jak to stwierdził Henryk Sienkiewicz w głośnej przed 30-u laty ankiecie (wartoby do niej sięgnąć) — katolicyzmu w jego istocie właściwie nie rozumie; wyzwolił się ledwie z jarzma bałwochwalstwa, wnosząc jednak do katolicyzmu wiele jego pierwiastków, które przekształciły się w następstwie według wymagań chrześcijańskiej liturgji.

To „uchrześcijanienie" dawnych wierzeń w zasadzie nie byłoby złe, jest to nieraz jedyna prawie droga do prawdziwej wiary.

Niestety, lud nasz często nie wiele zdobył z tej prawdziwej religijności. Adam Niemojewski w swej „Myśli Niepodległej" przytoczył z rejentalnie sporządzonego protokułu tekst „Ojcze Nasz", odmawianego gdzieś w lubelskiem, czy na Wołyniu. Jest to stek zupełnych nonsensów, w którym niema prawie najdrobniejszego śladu, poza fonetycznem zbliżeniem poszczególnych motywów, dawnego pierwowzoru modlitwy Pańskiej.

Nic dziwnego, że jeszcze przed wojną, a po niej w sposób szczególny, zaczęło się na wsi rozwijać sekciarstwo. Przecież taki marjawityzm umiał zgromadzić — podobno— do dwustu tysięcy zwolenników. Umiał pobudzić ich do ofiarności na swe cele. Po wojnie przyszedł Kościół narodowy i liczne sekty amerykańskie i wszystko to znalazło zupełnie łatwe oparcie w ludzie polskim, który, jak np. w słynnych Piaskach lubelskich, gwałtem odbiera katolickiej parafji kościół, by oddać go sekciarskiemu proboszczowi.

Bo też w ludzie polskim nie było żadnego wyrobienia katolickiego, już nie mówię wysokiej, ale choć elementarnej świadomości tego, czem jest Kościół jako instytucja, czem jest katolicyzm i na czem polega jego odrębność i wyłączność.

Aż dziw brał, jak łatwo nieomal całemi wsiami odpadał lud od Kościoła, byle mu ktoś rzucił hasło „precz z Rzymem, precz z papieżem, precz z duchowieństwem!". Jak łatwo szedł na lep lewicowej agitacji! To prawda, że ci sekciarze szli z bardzo ponętnem hasłem Kościoła narodowego, hasłem, które przecież na swój sposób tryumfowało za czasów niewoli w całej praktyce życia religijnego w Polsce.

Takiego Kościoła w gruncie rzeczy chciało wielu polityków polskich.

Przecież Roman Dmowski pisał w swych „Myślach nowoczesnego Polaka":

„W dziejach naszej części świata polityka kościelna często błądziła, usiłując przeciwstawić się prawowitemu państwu i narodowej idei. Kościół... nie zdawał sobie sprawy, że osłabiając ideę narodową i siłę moralną narodowego państwa, podkopywał najsilniejszą podstawę organizacji moralnej. Jeżeli w krajach łacińskich antyreligijny i kosmopolityczny radykalizm największe dziś czyni zdobycze, to dlatego, że tam duchowieństwo, zanadto rzymskie, moralnie zbyt ciążące na zewnątrz narodu, zbyt obojętnem by-

ło na sprawy narodowe, na obowiązki obywatelskie. „Najwierniejszej córze Kościała“ lada chwila grozi, że stanie się łupem masonerji“ (str. 254).

U nas natomiast duchowieństwo było wprost torpoczątą polskości, a przecież nie uchroniliśmy się od ataków kosmopolitycznego radykalizmu.

Bo też rzecz nie w tem, czy duchowieństwo jest narodowe, czy neutralne, lub rzymskie, lecz w tem, jaki jest stopień uświadomienia religijnego w narodzie, jaki poziom moralny. Chrześcijaństwo nie mogłoby rozwijać się pod wszystkiemi szerokościami geograficznemi, gdyby było tworem wyłącznie narodowym, lub gdyby było wrogie idei narodowej. Chrześcijaństwo, jako wyższy porządek moralny, jest nadnarodowe. Jak niebo jest nad ziemią i ogarnia ją, tak samo chrześcijaństwo ogarnia życie jednostek w łonie narodu i życie narodów w łonie ludzkości.

Tymczasem są politycy, którzy powiadają: „W stosunku do cudzoziemca, dajmy na to Niemca lub Moskala, etyka chrześcijańska tyle mię obowiązuje, ile idzie o stosunek prywatny, tam wszakże, gdzie występujemy jako przedstawiciele i obrońcy spraw swych narodów, obowiązuje mnie jedynie etyka narodowa... Zabić nawet mam obowiązek w walce za ojczyznę“ *).

Obowiązek moralny?

Utylitarny stosunek do chrześcijaństwa i Kościoła, wprowadzony dosyć szeroko w praktykę naszego życia społecznego, zrobił swoje, przywiódł raczej do zamętu pojęć i demoralizacji, niż korzyści dla życia narodu. Każdy bowiem czuł się powołanym do anektowania Kościoła na rzecz swego interesu partyjnego, a jeśli się nie dało, to wręcz stwarzał sobie swój własny Kościół i z wielkim ferworem przeciwstawiał się katolicyzmowi.

Wystarczy zaznaczyć, że n a w e t socjaliści nasi, zwalczający z taką nienawiścią i zaciekłością Kościół kato-

---

*) R. Dmowski. Myśli nowoczesnego Polaka.

licki, chętnie popierają natomiast Kościół narodowy, widząc w nm podatne narzędzie do opanowania wsi, na którą (proletarjat wiejski) usiłują obecnie rozciągnąć swe wpływy. Socjalizm i radykalizm wogóle znalazł, rzecz charakterystyczna, podatne podłoże na wsi polskiej.

Chłop polski, obudzony dopiero z opóźnieniem półwiekowem do życia politycznego, upojony przywilejami obywatelskimi, widzi w radykaliźmie największą ponętę i zwraca się nieraz przeciwko Kościołowi, który bądź co bądź był jego piastunem i opiekunem przez wieki całe. Inna rzecz, że znajduje do tego zachętę w wybujałym nadmiernie radykaliźmie pewnych partji, które z dziecinną zarozumiałością ogłaszają się w Polsce za chorążych „wielkiej rewolucji".

To nieskoordynowanie dążeń religijnych, społecznych i państwowych — jest smutnym faktem naszych dziejów współczesnych.

Ciekawie charakteryzuje to poseł Adam Piasecki:

„Jeżeli można mówić w Polsce o niebezpieczeństwie dla Kościoła lub religji, jeśli niejednokrotnie z niepokojem obserwuje się pewne objawy w dziedzinie szkolnictwa czy wychowania, to podłożem tych zjawisk jest nietylko siła tak już przecież przeżytych prądów radykalnych, ale przedewszystkiem niesharmonizowanie w duszy polskiej poczucia religijnego, wierności dla państwa i uczuć i instynktów narodowych. Walka z Kościołem w imię nadrzędnego interesu państwa lub walka polityczna, szkodliwa dla własnego państwa, granicząca nawet z walką z niem w imię obrony religji — oto są paradoksy, spotykane w Polsce na każdym kroku".

Wszystko to są objawy, wielce niepożądane w obecnym momencie, gdy dokonywa się koncentracja myśli państwowej, gdy organizuje się państwo i ustala jego powaga. W takiej chwili musi się zaznaczyć wpływ katolicyzmu w ten sposób, by doszło nareszcie do rozumnego i celowego sharmonizowania wymagań religji z wymaganiami pa-

trjotyzmu. Katolicyzm winien nadać kierunek moralny kształtującej się państwowości polskiej, oprzeć ją na trwałym fundamencie ideologji chrześcijańskiej, usunąć wszystkie sprzeczności i nieporozumienia. Aby to jednak nastąpiło, trzeba, by katolicy sami nabrali dojrzałości myślowej, by dokładnie zapoznali się ze swymi obowiązkami w życiu politycznem.

RELIGJA A POLITYKA.

Zagadnienie stosunku wzajemnego religji do polityki ma już swoją odległą tradycję, że wskażemy tu choćby na historyczny spór o prymat władzy papieskiej.

Wróciło ono w zmienionej formie w wieku XIX-ym na tle smutnych doświadczeń Kościoła we Francji — za czasów III Republiki, w Niemczech dzięki Kulturkampfowi, we Włoszech — po r. 1870.

Nic dziwnego, że sprawą stosunku religji do polityki zajął się Leon XIII-ty w swych licznych encyklikach. Wspomnieć tu wypada „Diuturum illud“ (o pochodzeniu władzy świeckiej) 29-go czerwca 1881, „Immortale Dei“ (o chrześcijańskim ustroju państwa) 1-go listopada 1885, dalej ubocznie dotykające tego przedmiotu „Quod apostolici muneris“ (o niebezpieczeństwach socjalizmu) 25-go grudnia 78, „Rerum novarum“ (o socjaliźmie) z 13.V 1889, „Ad multa sunt“, „Graves de communi“ i t. p.

Wielki ten papież wyraźnie stwierdza, że między religją a polityką nie może być bezwzględnego rozdziału, gdyż prowadziłoby to do szkodliwej rozbieżności między zasadami religijno-moralnemi a polityką życia społecznego.

„Są tacy, którzy mają zwyczaj nietylko rozróżniać politykę i religję, ale je zupełnie rozłączać i rozdzielać do tego stopnia, że nie chcą, aby miały one cokolwiek ze sobą wspólnego i nie myślą, by należało tolerować w czemkolwiek wpływu jednej na drugą. Tacy zaiste niezbyt się różnią od ludzi, pragnących, by Bóg, Stwórca i Pan Wszech-

mocny, stał poza organizacją i administracją państwa i błąd ich tem więcej pożałowania godny, że odsuwają w ten zuchwały sposób społeczeństwo od najobfitszego źródła korzyści".

Religja jest bowiem źródłem tych podstawowych wartości moralnych, bez których życie społeczeństwa jest — na dłuższą metę — nie do pomyślenia.

„Oczywistą jest więc rzeczą — mówi Leon XIII-ty w enc. „Immortale Dei" — że katolicy mają słuszne powody do uczestniczenia w życiu politycznem".

Pius X-ty w encyklice „Il fermo proposito" mówi:

„Trzeba wpajać i wcielać w czyn wzniosłe zasady, które rządzą sumieniem każdego prawego katolika. Ma on przedewszystkiem pamiętać i okazywać we wszystkich okolicznościach, że jest prawdziwym katolikiem. Gdy bierze na siebie i wypełnia jakikolwiek obowiązek społeczny, to z wytrwałem, silnem postanowieniem pracowania dla dobra społecznego i ekonomicznego Ojczyzny, a przedewszystkiem dla ludu, wedle zasad cywilizacji chrześcijańskiej oraz dla obrony równocześnie interesu Kościoła, który jest rękojmią religji i sprawiedliwości".

Od kierunku polityki zależy los społeczeństw, jeśli bowiem zapanuje radykalizm, to dojdzie nietylko do pogwałcenia praw Kościoła i sumień obywateli, ale i do naruszenia ładu społecznego. Katolik nie może więc pozostać obojętnym wobec zagadnień i potrzeb życia politycznego. Musi uczynić wszystko, aby poprzez organa polityczne rozszerzał się wpływ religji na wszystkie dziedziny życia społecznego.

Nietylko ma obowiązek przeciwdziałać wrogim zakusom na religję, prawa Kościoła i ustrój społeczny, ale musi rozwijać także pozytywną działalność polityczną, przez którą zmierzać będzie do ukształtowania życia społecznego według wskazań ideału chrześcijańskiego.

„Katolicy wchodzą i powinni wchodzić na tory polityczne nie po to, aby uznawać to, co może być naganne-

go w instytucjach politycznych, ale po to, aby dzięki tym instytucjom wynieść, ile się tylko da, prawdziwego i szczerego dobra ogólnego, stawiając sobie za zadanie wlać w organa państwowe moc i wpływ religji katolickiej, jakby sok i krew odżywczą". (Enc. Immortale Dei).

Jak widzimy, cel, dla którego katolicy winni brać udział w życiu politycznem państwa, jest ten, aby życiu temu zaszczepić ziarno zdrowej moralności.

Leon XIII-ty w liście „Postquam catholici" powiada coprawda:

„Wskazanem jest, by religja i polityka, które z natury swej są różne, również i pojęciowo były rozdzielone. Sprawy bowiem, dotyczące polityki, aczkolwiek mają wielkie znaczenie i doniosłość, nie przekraczają nigdy z natury swej granic doczesności. Natomiast religja, która wyszła od Boga i do Boga prowadzi, ma szerszy zakres działania i do nieba sięga. Pragnie ona bowiem i chce duszę, tę najcenniejszą cząstkę człowieka, przepełnić znajomością, miłością Boga i całą ludzkość doprowadzić do upragnionej wiecznej szczęśliwości. Jest zatem słusznem, by religji i wszystkiemu, co jakikolwiek ma z nią związek, przyznawać wyższe pochodzenie".

To ostatnie zdanie rzuca dopiero światło na intencję całego wywodu. Papież ma na celu bynajmniej nie to, aby udowodnić, że między religją i polityką jest i musi być rozbrat, tak, że nawet pojęciowo nie należy ich wogóle łączyć. Leon XIII-ty chce tylko wskazać, w jaki sposób zarówno w pojęciach, jak i w praktyce życia, należy łączyć religję i politykę.

A należy je zestawiać i wiązać, zachowując pierwszeństwo dla religji, jako mającej „wyższe pochodzenie".

Dlatego to powiada w tymże liście, że religji należy się szczególny immunitet, nie może ona być hasłem rozgrywki politycznej, przedmiotem przetargu partyjnego, w którym idzie licytacja o „duszę ludu" przez coraz cyniczniejsze nadużywanie imienia Boga i powagi religji i Kościoła.

„Nigdy nie powinniście zezwolić, by sprawy religijne wciągano w dyskusje polityczne, gdyż sprawy te górują nad wszystkiem, jak niebo nad ziemią. Dlatego zasługują na naganę ci, którzy dla korzyści partji i dla osiągnięcia jakiegokolwiek celu politycznego, nadużywają imienia katolika lub wyzyskują katolickie uczucia ludu“.

Katolicy, idąc więc do akcji politycznej pod hasłem oczyszczenia życia społecznego od zła moralnego, pod żadnym pozorem nie powinni przyczyniać się do powiększania i tak istniejącego już zamętu w tej dziedzienie przez czysto partykularny stosunek do polityki, przez prowadzenie akcji pod znakiem nienawiści partyjnej i dla osobistych czy koteryjnych interesów. Dobro państwa wymaga harmonijnej współpracy wszystkich grup społecznych, wszystkich odłamów myśli politycznej, rozumnego uzgodnienia wszystkich tendencji społeczno-gospodarczych i kulturalnych. Ślepe, wyłączne, zaciekłe agitowanie za jednym sztandarem partyjnym, który — rzekomo — jak słup ognia ma wywieźć państwo z egipskiej niewoli i klęsk politycznych, jest jednym z najgorszych błędów myśli politycznej.

Osłanianie więc takiego sztandaru powagą religji i Kościoła, monopolizowanie na jego usługi wszystkich świętych haseł, jest zwyczajnem nadużyciem, które musi się zemścić na życiu narodu. Kto tego nie rozumie, ten jest złym katolikiem, niepojmującym istoty swej religji.

Leon XIII-ty wyraźnie tu powiada w encyklice „Ad multa sunt“:

„Są tacy, którzy do tego stopnia mieszają i stapiają, że się tak wyrazimy, religję z jedną partją polityczną, że uznają, iż członkowie innej partji porzucili nieomal nazwę katolików. Byłoby to niezręczne wprowadzenie partji politycznych w dziedzinę wzniosłą religji; byłoby to łamanie

zgody braterskiej i otwieranie dróg dla licznych i zgubnych nadużyć".

Religja, Kościół, tak samo, jak i państwo, nie może być niczyim folwarkiem, a obywatele wyborcy stadem baranów, które się pasie na sztucznie i jednostronnie spreparowanej pożywce haseł i następnie prowadzi do wyborczych postrzyżyn.

Niestety, takie metody uprawiane są również i przez polityków, mieniących się katolikami i chętnie popisujących się obroną katolickich zasad. Najwidoczniej katolicyzmu nie rozumieją lub nie biorą na serjo.

Ci katoliccy działacze niczem się prawie, po za szyldem, nie różnią od swych ideowych przeciwników z lewa. Uważają oni, że w życiu politycznem nie obowiązuje uczciwość, podniecając więc wszelkimi możliwymi sposobami namiętności partyjne, sieją nienawiść społeczną i wśród burzy łowią mandaty.

Na konieczność zmiany tej modły postępowania i ścisłego przestrzegania zasad moralności wskazuje O. J. Urban w październikowym Nr. „Przeglądu Powszechnego". Mówi on tam o zbyt łatwych i utartych sposobach działalności politycznej, które mogą też nęcić działaczy katolickich.

„Jakże często nawinie im się pokusa puszczenia w obieg o przeciwniku politycznym lub powtórzenia za innymi krzywdzącej plotki, obniżenia jego zasług, nicowania jego pobudek, a z drugiej strony tuszowania prawdziwych przewin własnych lub przewin dzisiejszych, chwilowych sprzymierzeńców, w których jeszcze wczoraj nic uczciwego się nie widziało. Jeżeli to drugie w człowieku, w którym pamięć nie zanikła, a sumienie nie zostało zgłuszone, wzbudza duży niesmak, to pierwsze — nieuczciwe szkalowanie przeciwnika — wywołuje odruch oburzenia. Najgorzej, jeśli ofiarą tego szkalowania, czy nicowania w „katolickiej" prasie jest katolik, którego do innego obozu zaprowadziła szczera chęć służenia, jak mu się zdaje najskutecz-

niej, religji i Ojczyźnie. Jeżeli już skazani jesteśmy na wzajemną walkę, walczmy z tem poczuciem tragizmu, z jakiem podczas wielkiej wojny walczyli przeciwko sobie bracia rodzeni, których los postawił w armjach przeciwnych. Poczucie tego tragizmu nauczy nas wzajemnego szacunku, a kiedy gorączka przedwyborcza przeminie i zacznie się, da Bóg, okres pracy, może ci katolicy, którzy będą po obu stronach, odegrają rolę czynnika łagodzącego waśń polityczną i ścielącego drogę do porozumienia i zgodnej pracy".

Takiego ducha, taką atmosferę etyczną powinni wnosić katolicy do życia politycznego, a do publicystyki politycznej w szczególności. Dzisiejsze dziennikarstwo — to jaskinia złych wiatrów, skąd zawsze grożą społeczeństwu największe wstrząsy i zamęty. Z duchem tego zamętu, niepokoju, ze złośliwą wolą burzenia, niszczenia, hecowania, szkalowania i wogóle wszelkiej demagogji — nie wypada rywalizować dziennikarzowi katolickiemu.

Nie tylko nie wypada. Nie wolno pod grzechem!

Przeciwnie, jego obowiązkiem jest uczynić wszystko dla złagodzenia nienawiści do przeciwników, jaka może zachwaszczać działalność jego własnego obozu. Musi być bezkompromisowym szermierzem miłości. Tego obowiązku nie zastąpi nawet najbardziej emfatyczne oświadczenie, że się jest katolikiem i że chce się walczyć w obronie interesów religji i Kościoła. Taka deklaracja pozostanie fałszem i kłamstwem. Katolicyzm bowiem, to nietylko godziwe cele dążeń i wysiłków, a l e t o t a k ż e g o d z i w e d l a i c h o s i ą g n i ę c i a ś r o d k i.

Inaczej postępując, kłamiemy naszemu ideałowi.

Wysuwa się zagadnienie, czy politykę uda się wyzwolić zupełnie z pod władzy kłamstwa, czy mogą w niej zapanować dobre obyczaje? Bo dzisiejsza praktyka życia publicznego przeczy najelementarniejszym zasadom uczciwości i godności.

Programy partyjne, układane i redagowane są nie dlatego, żeby odźwierciedlić pewien realny cel, do którego da-

na grupa dąży, lecz by przelicytować pod względem radykalizmu swego przeciwnika. Niedawno jeden z polityków angielskich stwierdził, że obietnice, czynione wyborcom, nie obowiązują partji, gdy dojdzie do władzy. Manifest przedwyborczy, jak komplement w salonie, nie zawiera więcej prawdy, prócz tej, że jego autorzy mają wielki apetyt na... mandaty. A gdy dojdą do władzy, zapomną o górnolotnych obietnicach i będą rządzić według wypadkowej interesów społecznych. Logika rządzenia jest w całkowitej sprzeczności z logiką agitowania wyborcy. Gdyby rządzący chcieli dotrzymać wszystkich nieopatrznych i chojnych obietnic, rzuconych w czasie wyborów, w trzy dni zrujnowaliby państwo. Interes państwa polega na tem, by tych obietnic nigdy nie dotrzymano. Tak np. socjaliści angielscy stale od lat trzydziestu kilku idą do wyborów pod hasłem socjalizacji kopalń, lasów, fabryk i t. p., żaden jednak z rządów socjalistycznych nawet nie próbuje realizować tego hasła.

Więc w wyborze przynależności partyjnej w żadnym razie nie może decydować gołosłowna hojność i agresywność programu, a wręcz przeciwnie, jego umiarkowanie i ścisłe przystosowanie do potrzeb całego społeczeństwa i możliwości życia państwowego.

Nie ten jest bowiem realnym politykiem, kto wiele obiecuje, ale ten, kto przyrzeka rzeczy możliwe do spełnienia. Oczywista jest rzecz, że wygadany demagog może mieć większe powodzenie u ludzi, niż uczciwy, odpowiedzialny polityk. Ale też jest rzeczą zmysłu politycznego katolików i ich poważnego stosunku do życia, by popierać politykę naprawdę realną, a nie admirować wydętych balonów demagogów.

Niestety, naogół biorąc, niewiele w Polsce jest partji, które budowałyby swój program, licząc się z realnemi możliwościami życia społecznego. Programy te albo są wręcz niewiarogodne, albo też conajmninej budowane mocno na wyrost. Pod tym znakiem dokonano w Polsce odrodzonej

całego szeregu aktów ustawodawczych, którym nie można nic więcej zarzucić ponadto, że były przedwczesne. W ten sposób to, co miało być dobrodziejstwem, stawało się czasami przekleństwem. Wspomnijmy tu choćby ustawy o ubezpieczeniach społecznych, nie mówiąc już o klasycznej reformie rolnej, o której mówił ś. p. prof. Jaworski, że jest ona dziełem myślenia miejskiego, a nie wiejskiego.

Poddaliśmy się jednemu z tych szkodliwych złudzeń, dzięki którym człowiekowi wydaje się, że można papierowym aktem ustawodawczym zmienić od ręki utarty porządek życia.

Kościół katolicki, katolicyzm wogóle, których podstawą jest silnie zakorzeniona tradycja i konserwatyzm — powinny być źródłem zbawiennej refleksji, opamiętania i umiarkowania wobec wszelkich radykalnych reform.

Jak widzimy, w życiu politycznem, a zwłaszcza w działalności partji politycznych, jest wiele stron ujemnych, wobec których katolik musi zająć zdecydowane stanowisko dezaprobaty, a nieraz wręcz izolować się. Poszczególne partje imają się w akcji politycznej środków wręcz niegodziwych. Kłamstwo, oszczerstwo, demagogja, terror moralny i fizyczny — oto narzędzia walki politycznej. Życie polityczne na każdym kroku nieomal stawia człowieka w kolizji z moralnością i religją.

Wobec tego nasuwa się zagadnienie, jakie powinno być stanowisko duchowieństwa wobec polityki, czy duchowieństwo może brać bezpośredni udział w akcji politycznej, agitując w duchu partyjnym, walcząc o mandaty poselskie? Czy taki udział w życiu politycznem nie naraża na szwank powagi sukni duchownej, nie podrywa zaufania do kapłana, jako do czynnika, reprezentującego wśród potoczności życia pierwiastki wyższego porządku, czy wbrew intencjom Leona XIII-go nie wciąga religji w wir rozgrywek politycznych?

Zanim damy na to wyczerpującą odpowiedź, musimy zaznaczyć, że w encyklikach Leona XIII-go — jak to już zaznaczyliśmy — jest zastrzeżenie przeciwko zupełnemu oddzielaniu polityki od religji. Owszem, religja, zachowując swe prawo pierwszeństwa i wyższości, może oddziaływać na politykę, będąc źródłem trwałych zasad moralnych, może więc występować niejako w roli sędziego między stronami, w żadnym jednak razie nie w roli adwokata jednej z nich.

Nie wolno utożsamiać bowiem religji z jedną partją, nie wolno wydzierżawiać jej haseł na usługi jednego obozu, tembardziej, że środki, którymi ten obóz może się posługiwać, nie zawsze są godziwe.

Dlatego to właśnie Pius XI w encyklice „Ubi arcanum Dei" i następnie w liście do katolików włoskich wyraźnie wypowiedział się przeciw bezpośredniemu udziałowi duchowieństwa w życiu politycznem. Owszem, kapłan nie powinien ograniczać swej działalności li tylko do ołtarza, zakrystji, ambony i konfesjonału; (Il fermo proposito, 11.VI 1905, Pius X), powinien brać także udział w życiu społecznem, nie może się jednak angażować w samą rozgrywkę partyjną.

O ile bowiem katolik może prywatnie brać udział w życiu politycznem, rzeczywiście nie angażując Kościoła, o tyle kapłan, wnosząc wszędzie przywilej sukni duchownej, musi jednocześnie zaangażować Kościół i to jednostronnie. Zadaniem więc kapłana, jak zresztą i każdego wierzącego katolika, jest wnosić światło ideału chrześcijańskiego i miłości w zaciemnioną nienawiścią walkę sprzecznych interesów politycznych.

Lecz forma tej ingerencji ze strony duchowieństwa nie może być jednoznaczna z opowiedzeniem się po stronie jednej z partji.

KATOLIK WOBEC RZĄDU.

Jednem z ważnych zagadnień, które winien każdy katolik w swem sumieniu rozstrzygnąć, jest sprawa stosunku do rządu, a w szczególności sprawa przeciwstawiania się rządowi pod znakiem katolickiej zasady, której ten czy ów rząd ma być — rzekomo — wrogiem.

Trzeba stwierdzić, że po wojnie wytworzył się w tej dziedzinie wielki zamęt. Silne organizacje chrześcijańsko-demokratyczne, które powstały w różnych krajach, jak Austrja, Czechosłowacja, Litwa, Niemcy — weszły na tory wybitnie partyjnej polityki i w swej walce z rządami i dobijaniu się władzy posługują się nieopatrznie szyldem katolickim, wprowadzając niejednokrotnie w błąd wiernych.

A przecież Leon XIII-ty w encyklice „Graves de communi" pisał, że „niegodzi się nadawać mianu chrześcijańskiej demokracji znaczenia politycznego". „Jakkolwiek bowiem wyraz „demagogja" etymologicznie i filozoficznie oznacza panowanie ludu, to jednak w naszym wypadku należy demokrację tak pojmować, by wykluczała wszelkie znaczenie polityczne, a wyrażała wyłącznie tylko dobroczynną działalność chrześcijańską na rzecz ludu".

Następnie wielki ten prawodawca nowoczesnego katolicyzmu w następujących słowach w tejże encyklice ustala obowiązki katolików wobec rządów:

„Należy bardzo wyraźnie podkreślić, że pod nazwą demokracji chrześcijańskiej nie ukrywa się żadna dążność do nieposłuszeństwa, czy też oporu wobec władzy prawowitej. Wszak zarówno prawo przyrodzone, jak i chrześcijańskie, przykazuje szanować różne władze państwowe oraz słuchać ich słusznych rozkazów. Należy to zaś czynić szczerze, z poczuciem swego obowiązku, jak przystało na prawego człowieka i chrześcijanina, mianowicie dla sumienia, jak o tem upomina Apostoł... Bardzo ważną jest rzeczą, aby wszyscy wierni zapamiętali sobie głębokie te słowa i starali się je wypełnić we wszelkich okolicznościach

życia; tembardziej zaś kapłani, najstaranniej je rozważając, niech nie zaniedbują zachęcać innych do ich przestrzegania nietylko słowami, ale i własnym przykładem".

Ogólnie biorąc, Kościół zabrania katolikom tworzyć stronnictw czysto politycznych, pojętych jak pewien fragment życia kościelno-religijnego.

Siłą rzeczy musiałyby wówczas programy, zarząd i działalność takiej partji katolickiej podlegać władzy i kontroli Kościoła, który brałby za nie odpowiedzialność. A tego Kościół ani chce, ani może uczynić, jeśli ma pozostać w zgodzie z wolą Chrystusa, który raz na zawsze oddzielił władzę religijną od świeckiej: „Co cesarskiego — oddajcie cesarzowi, co Boskiego — Bogu".

Z tej formuły wynika przytem, co potwierdza następnie cała nauka Kościoła, że jest grzechem ciężkim odmowa posłuszeństwa legalnej władzy, brak szacunku dla niej i posłuchu dla jej rozporządzeń w sprawach, w których ta władza ma prawo i obowiązek rozkazywać, a w swych rozkazach nie sprzeciwia się nauce Kościoła i nie godzi w jego dobro.

Ks. Dr. Fr. Mirek, znany socjolog katolicki, słusznie powiada: „Gorszycielami publicznymi w społeczeństwie są tacy katolicy, którzy w przemowach publicznych lub gazetach obniżają powagę rządu, wyszydzają go lub utrudniają mu świadomie pracę około dobra Rzplitej. Nie „józefińskie" — ale katolickie są to zasady: szanować i spełniać słuszne rozkazy prawowitego rządu" *).

J. Czarnecki.

---

*) „Czas" Nr. 279, r. 1930.

DROGA DO KRYZYSU.

W obecnej dobie wszechświatowego kryzysu gospodarczego wiele miejsca w prasie i literaturze fachowej poświęca się badaniu jego przyczyn. Myśl ludzka biegnie głównie w kierunku zjawiska ogólnej nadprodukcji z jednej, a obniżania się zdolności konsumcyjnej z drugiej strony, uważając oba te zjawiska za jedyne przyczyny spadku cen.

Jakkolwiek słuszność tych twierdzeń jest aż nazbyt oczywista, nie wyczerpuje jednak tego, tak skomplikowanego problematu.

W artykule niniejszym pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na jedną jeszcze przyczynę — zdaniem naszem jedną z najważniejszych — takiego, a nie innego rozwoju stosunków gospodarczych na świecie.

Przyczyną, którą omówić pragniemy, jest uprawiana przez kraje, gospodarczo najzasobniejsze, polityka tezauryzacji złota i emisji banknotów.

Szkic niniejszy nie może oczywiście wyczerpać całokształtu tego, tak skomplikowanego procesu; może tylko przyczynić się do oświetlenia niektórych jego przejawów.

Gdy zestawimy szybkość wzrostu produkcji w krajach najsilniejszych pod względem gospodarczym na obu półkulach z szybkością, z jaką równocześnie wzrastał obieg pieniędzy w ciągu ubiegłego pięciolecia, uderzy nas niewątpliwie niewspółmierność między jednym a drugim z tych czynników życia gospodarczego.

Jako podstawę rozważań obraliśmy sobie dane, dotyczące pięciu krajów, które wydają nam się najbardziej charakterystyczne, a mianowicie: Kanady i Stanów Zjednoczonych z jednej strony, a Anglji, Francji, Niemiec i Szwecji z drugiej.

Cyfry, charakteryzujące obieg pieniężny, produkcję i wzajemny stosunek ich przyrostu są następujące:

(1924 — 100)

	1925	1926	1927	1928	1929
a) obieg banknotów	+ 8, 4%	+ 14,68%	+ 22, 6%	+ 26,33%	+ 28,7%
b) wskaźnik produkcji . .	+ 3,11%	+ 7,71%	+ 15,45%	+ 18,50%	+ 27,5%
Stosunek $\frac{a}{b}$ . .	2,7	1,9	1,48	1,41	1,05

Jak widać z tego, stosunek ten w ciągu ubiegłego pięciolecia stale i szybko się zmniejszał. Wniosek stąd, że na jednostkę wyprodukowanego dobra przypada coraz mniej jednostek środków wymiany.

Jeżeli w przeciwstawieniu do tego faktu zważymy, że procentowe pokrycie obiegu banknotów złotem wynosiło średnio dla badanych krajów:

w r. 1924 — 75,12%
„ 1925 — 72,15%
„ 1926 — 76,46%
w r. 1927 — 71,92%
„ 1928 — 72,20%
„ 1929 — 70,80%

dojdziemy do przekonania, że brak środków obiegowych ma charakter sztuczny. Około 60% zapasów złotego kruszcu leży bezużytecznie w skarbcach banków emisyjnych, gdy zaledwie około 40%, odpowiadające prawie powszechnie dziś przyjętej zasadzie 33% pokrycia obiegu złotem, wykorzystywane było dla celów emisji banknotów.

Nie trzeba dodawać, że ten sztuczny brak pieniądza obiegowego wpłynąć musiał silnie na zniżkę cen, która postawiła przemysł wobec konieczności obniżenia kosztów produkcji. Obniżenie to musiało w pierwszym rzędzie pójść w kierunku zmniejszenia udziału pracy ludzkiej w koszcie własnym wytworu, czyli zmniejszenia udziału płacy robo-

czej. Płaca robocza była bowiem tym składnikiem kosztów własnych, który wzrastał najszybciej. Oto jak wyglądały stosunki w tej dziedzinie:

(1924 — 100)

Przyrost: . . .	1925	1926	1927	1928	1929
a) płac roboczych . . .	+ 5,86%	+ 11,0%	+ 13,34%	+ 17,6%	+ 24,27%
b) kosztów utrzymania	+ 4,99%	+ 7,71%	+ 8,94%	+ 9,34%	+ 11,60%
c) wskaźnika cen hurtow.	+ 2,47%	+ 3,93%	+ 1,63%	+ 1,76%	— 1,56%

Niewspółmierność wzrostu płac roboczych do wzrostu kosztów utrzymania wydaje się zatem oczywistą w przeciwstawieniu do spadku cen hurtowych. Produkcja znalazła się więc jakby w kleszczach, z których należało szukać wyjścia.

Jedynym sposobem okazało się zastąpienie pracy ludzkiej w większej, niż dotychczas mierze, pracą maszyny i zwiększenie produkcji, które udział pracy ludzkiej w kosztcie własnym jednostki wytworu bardziej jeszcze zmniejszało.

Inwestycje, zmierzające do racjonalizacji produkcji, w olbrzymiej części były czynione nie przy pomocy własnych rezerw przemysłu, lecz środki na ten cel czerpane były z rynku kapitałów drogą emisji papierów wartościowych, które też w tym okresie niepomiernie wzrastają.

Dla zobrazowania stanu rzeczy na rynkach emisyjnych przytaczamy szereg cyfr:

(średnia 5 krajów — kwota emisyjna w r. 1924—100)

wzrost kwoty emisji wyniósł w r. 1925 — + 39,40%
„ „ „ „ „ 1926 — + 49%
„ „ „ „ „ 1927 — + 128,52%
„ „ „ „ „ 1928 — + 144,40%
„ „ „ „ „ 1929 — + 115%

Dodajmy przytem, że emisje papierów wartościowych, wycofując na czas pewien pieniądz płynny z obiegu, wpływają hamująco na obrót gospodarczy, jakkolwiek dodatnio na wzrost wkładów oszczędnościowych, na który wskazują poniższe cyfry:

(kwota wkładów w 5 krajach w r. 1924 — 100)

Wzrost wynosił w r.	1925	— + 25%
„ „ „	1926	— + 52,5%
„ „ „	1927	— + 82,5%
„ „ „	1928	— + 139,5%

Ten nader silny wzrost wkładów oszczędnościowych nie wynika ze słabej rentowności papierów lokacyjnych względnie przedsiębiorstw przemysłowych. Przeciwnie — rosnący wskaźnik kursu tych papierów wskazuje na proces wręcz przeciwny, a mianowicie wskaźnik kursów giełdowych wynosił:

	1925	1926	1927	1928	1929
St. Zjednoczone (1926 — 100)	88,4	100	117,6	154,3	189,4
Kanada (1926 — 100)	75,8	100	131,6	185,3	267,0
Niemcy (1924/26 — 100)	93,3	105,6	154,2	142,4	126,1
Anglja (1913 — 100)	180	186	202	237	237
Szwecja (wart. nom. — 100)	119	143	161	225	240

Racjonalizacja w przemyśle dała zatem wyniki dodatnie, przynajmniej narazie, zwiększając zyski przedsiębiorstw, które dochodzą do znacznej bardzo wysokości.

Przyczyną więc wzrostu oszczędności nie był brak innej lokaty, lecz wzrost zarobków, pozwalający na odbudowanie rezerw, zniszczonych przez wojnę i inflację. Wzrost ten zmusza jednak instytucje, przyjmujące wkłady, do utrzymywania coraz wyższych rezerw finansowych w celu zapewnienia sobie dostatecznej płynności.

Zestawiwszy wskazane powyżej fakty:

1-o. wzrost płac roboczych,

2-o. racjonalizację,

3-o. wzrost wkładów,

4-o wzrost emisji kapitału i wreszcie

5-o. niewykorzystywanie zdolności emisyjnej banków biletowych i wynikający z tego brak pieniądza obiegowego, dojdziemy do przekonania, że jakkolwiek racjonalizacja, będąca wynikiem nadmiernego wzrostu płac roboczych, w następstwie przyczyniła się do podniesienia skali zarobków tej części sił roboczych, która pozostała zatrudniona, to jednak zwiększona w ten sposób zdolność konsumcyjna tej właśnie części nie wyrównała zmniejszenia się zdolności konsumcyjnej pozostałej części, której praca, dzięki racjonalizacji, stała się niepotrzebna.

W przeciwstawieniu do tego niedostateczny obieg pieniężny oddziaływał hamująco na dalszą rozbudowę warsztatów pracy, która dała możność zatrudnienia nadmiaru sił roboczych i temsamem podniosła ich zdolność spożywczą.

Przytoczone fakty skłaniają nas, abyśmy zwrócili większą uwagę na politykę nadmiernego gromadzenia złota tam, gdzie stan ten najjaskrawiej się uwydatnia, nie ograniczając się do nadprodukcji z jednej, a obniżenia konsumcji z drugiej strony.

W tym celu porównajmy stosunki, panujące w Stanach Zjednoczonych i w Europie, na zasadzie poniższych cyfr:

(1924 — 100)

Przyrost:	1925	1926	1927	1928	1929
w St. Zjedn.					
a) wskaźnika produkcji	+9,45%	+13,65%	+11,65%	+16,80%	+24,20%
b) obiegu banknotów	+1,25%	— 0,97%	— 0,87%	— 1,28%	— 3,60%
Europa (Niemcy, Francja, Anglja, Szwecja — średnio)					

a) wskaźnik produkcji	— 0,57%	+ 2,80%	+ 8,60%	+ 11,20%	+ 21,10%
b) obieg banknotów	+ 12, 5%	+ 24,07%	+ 31,30%	+ 39,95%	+ 42,40%

Należy zwrócić uwagę na odmienny charakter obu procesów w Stanach Zjednoczonych i w Europie. O ile bowie w Europie wzrostowi produkcji towarzyszy równoczesny wzrost obiegu banknotów, o tyle w Stanach Zjednoczonych ten sam proces ma charakter odwrotny.

Podstawy emisyjne europejskich banków biletowych są o wiele węższe, niż Federal Reserve Bank. Dla uwidocznienia przytaczamy stosunek pokrycia:

	1924	1925	1926	1927	1928	1929
Europa (3 kraje średnio)	41,9%	36,44%	38,75%	38,40%	44,25%	46,50%
Stany Zjednoczone	90%	86%	88%	87%	83%	87%

O ile zatem banki europejskie muszą ograniczać emisję wskutek zbyt szczupłych zapasów kruszcu, o tyle bank emisyjny Stanów Zjednoczonych czyni to z innych zupełnie przyczyn.

Źródło takiego postępowania leży w stosunku Stanów Zjednoczonych do reszty świata, jako wierzyciela. Wykorzystując to stanowisko, Stany Zjednoczone narzuciły swą jednostkę monetarną jako stały miernik wartości wymiennej i środek regulacji zobowiązań międzynarodowych.

Takie narzucenie było możliwe, gdy się zważy, że bilans płatniczy Stanów wykazywał stale saldo na ich korzyść, nie równoważone eksportem kapitału. Oto, jak się rzecz przedstawia:

	1924	1925	1926	1927	1928
		(w miljonach dolarów)			
Saldo bilansu płatniczego	+ 538	+ 586	+ 92	+ 517	+ 1,131
Saldo eksportowanych kapitałów .	— 489	— 622	— 140	— 480	— 1,087

Jakkolwiek więc eksport kapitałów rośnie, nie równoważy jednak wpływów, które Stany otrzymują z zewnątrz.

Taki układ stosunków prowadzi tylko do pauperyzacji krajów, które są odbiorcami towarów amerykańskich. Stany bowiem, chroniąc własny rynek przed obcym importem za pomocą barjer celnych, uniemożliwiają innym krajom zdobywanie środków wymiany i obniżają przez to ich zdolność nabywczą.

Zważmy, że szczególnie w r. 1928, kiedy występują pierwsze oznaki nadchodzącego kryzysu, wzrasta raptownie zarówno saldo bilansu handlowego, jak i saldo obrotu kapitałów. Oto, jakie cyfry wykazuje jedna i druga dziedzina:

Saldo:	1925	1926	1927	1928
		(miljony dolarów)		
bilansu handlowego	+ 562	+ 14	+ 389	+ 1,097
obrotu kapitałów	— 622	— 140	— 480	— 1,087

Cyfry powyższe wskazują, że eksportowany ze Stanów kapitał powraca tam niezwłocznie w postaci należności za towary. Ponadto zaś napływają nieustannie odsetki od wszelkiego rodzaju pożyczek i inne należności.

Ostatecznie dochodzimy do wniosku, że eksport kapitałów ze Stanów Zjednoczonych ma charakter kredytu towarowego, najuciążliwszego dla kontrahenta. Polityka taka nie może być nazwana racjonalną w takiej skali, w jakiej jest stosowana przez Stany i musi w końcu doprowadzić w stosunkowo niedługim przeciągu czasu do wyników całkowicie ujemnych w postaci zmniejszenia się eksportu.

Znane powiedzenie niemieckie „leben und leben lassen" powinno znaleźć tu zastosowanie. Forma, w jakiej kredyty amerykańskie napływają w szczególności do Europy, musi ulec zmianie.

Kredyty muszą dopływać ze Stanów Zjednoczonych do Europy w postaci, która umożliwi jej odbudowanie własnych rezerw. Najbardziej wskazaną wydaje się forma

długoterminowych lokat w bankach europejskich przy niskiem oprocentowaniu, któreby umożliwiły zarówno przemysłowi, jak i rolnictwu europejskiemu uzyskanie przystępnego kredytu i racjonalny jego rozdział, dając przez to możność uzyskania kapitałów obrotowych.

Zato mniej wskazany jest bezpośredni udział kapitałów amerykańskich w przedsiębiorstwach przemysłowych, szczególnie przez podwyższanie kapitałów zakładowych przedsiębiorstw istniejących lub tworzenie nowych. Od tej działalności kapitał amerykański powinien narazie się wstrzymać.

Zupełnie nieracjonalnem byłoby udzielanie pożyczek obligacyjnych rządom państw, gdyż wpływy z nich są z zasady zużytkowywane w sposób najmniej produkcyjny i najpóźniej zasilają życie gospodarcze, *sprzyjając przytem rozwojowi działalności państwa, jako przedsiębiorcy i paraliżując inicjatywę prywatną.*

Odpływ kapitału ze Stanów Zjednoczonych spowoduje w konsekwencji wzrost obiegu pieniężnego i doprowadzi do przywrócenia równowagi w odniesieniu do zapasów złota. Będzie on niewątpliwie potężnym czynnikiem zarówno dla podniesienia się poziomu cen, jak i dla rozszerzenia konsumcji.

Na zakończenie słów kilka o działalności dumpingowej Rosji Sowieckiej, której przypisuje się ujemny wpływ na kształtowanie się cen.

Otóż udział Rosji w eksporcie wszechświatowym wyniósł:

w r. 1926 — 1,21%
„ 1927 — 1,31%
„ 1928 — 1,25%

Rozmiar więc eksportu rosyjskiego nie jest tak wielki, aby mógł spowodować tak silną derutę cen, jaka się objawiła. Mógł on jedynie uczynić dywersję na pewnych rynkach i to tylko przejściowo. Był on tylko jednym z wielu

ubocznych czynników, którego wpływ stał się silniejszym, niż mógł być, tylko dzięki sprzyjającej temu sytuacji ogólnej.

Przypomnijmy znane prawo ekonomiczne o dążeniu cen do równowagi. Każdy producent, poza Rosją dzisiejszą, musi zachować to minimum zysku, dla którego pracuje.

W dzisiejszych warunkach producent otrzymuje zysk ten bądź w drodze dumpingu, bądź w formie premji eksportowej, płaconej przez państwo. Zysk ten istnieje w każdym razie.

Towar zaś sowiecki, jakkolwiek w swej cenie rynkowej pozbawiony elementu zysku, musi przejść przez normalny aparat handlowy i dzięki temu cena jego dostosować się musi do powszechnej ceny rynkowej, stwarzając przez to odpowiednią rentę dla producenta - przetwórcy, jeżeli mamy do czynienia z surowcem, lub kupca, jeżeli w grę wchodzi gotowy produkt.

Włodzimierz Zbrowski.

POLSKA A ŚWIATOWE PRZESILENIE USTROJOWE.

„La démocratie révolutionnaire à accouchée du socialisme comme de son fils légitime“ — pisze Georges Dovime w swojej pracy p. t. „Le fisc contre la patrie“. Zdanie to stanowi obecnie fakt niesłychanej wagi, któremu daremnie starają się przeczyć — wbrew oczywistej prawdzie — obrońcy integralnego ludowładztwa, uważający demokrację za ostateczny wyraz doskonałości ustrojowej i przedstawiający rewolucję francuską, jej kolebkę, pomimo wszelkich zastrzeżeń przeciwko jej okrucieństwom, jako zbawienny w skutkach przełom wyzwoleńczy w życiu narodów, gnębiących przedtem niemiłosiernie w warunkach „oświeconego absolutyzmu“. Nie widzą oni bowiem konieczności degenerowania demokracji w socjalizm i, co za tem idzie, w komunizm.

Współczesny więc kryzys parlamentaryzmu, wyrażający się w kolejnem obalaniu ludowładztwa w poszczególnych krajach Europy przez dyktatury i w dążeniu do przywrócenia władzy jednostkowej, jest zdaniem p. Al. Chrząszczewskiego*) „ruchem obronnym warstw społecznych, zagrożonych zalewem powojennej czerwonej fali, która uderzając o kraje o niskim poziomie kulturalnym i niezrównoważonej strukturze społecznej i politycznej, znajduje zbyt słaby opór w starych demokracjach, a w świeżo wprowadzonych, skrajnie demokratycznych ustrojach i ich przesadnych niwelacyjnych tendencjach doskonałe narzędzie dla rozszerzenia swego zalewu“ . . . „Reakcja przeciwko ideom rewolucji francuskiej w dziedzinie myśli filozoficznej,

---

*) Od sejmowładztwa do dyktatury. Warszawa, 1930. Z tej pracy korzystamy niejednokrotnie w niniejszych uwagach.

to odrzucenie wiary w dobroć natury ludzkiej i nieomylność ludzkiego rozumu; a w dziedzinie politycznej — to dążenie do ochrony wartości ludzkiej indywidualności przeciw niwelacyjnemu naciskowi demokracji, wyrażającemu się we wszechwładzy i wszechingerencji demokratycznego państwa"! Przeżywamy więc powszechną reakcję przeciwko filozofji Rousseau'a, głoszącej, że człowiek, zanim go społeczeństwo nie zdeprawuje i uczyni nędznym, jest „istotą naturalnie dobrą, kochającą sprawiedliwość i porządek". Filozofja ta właśnie spowodowała wiarę w nieomylność decyzji przeciętnego człowieka, a więc masy, tłumu, wobec konieczności zrównania conajmniej „człowieka natury" ze „zdeprawowanym inteligentem". Jest to właśnie podłoże doktryny parlamentarno-demokratycznej, większościowej, utożsamiającej wolę „suwerennego narodu" z uchwałami „rządzącego parlamentu" (o ile zwłaszcza parlament ten pochodzi z najskrajniejszej ordynacji wyborczej). Demokracja parlamentarna, w warunkach powojennego, niebywałego wzrostu zagadnień społeczno-gospodarczych, nie mogąc sprostać swojemu zadaniu, zwłaszcza w organizmach państwowych o przewadze nieoświeconych mas włościańskich i proletarjackich, musiała bankrutować, szukając rozwiązania tych zagadnień po drodze najmniejszego oporu, zgodnej z pierworodnym grzechem samej kultury demokratycznej, na drodze inflacji, biurokratyzacji, etatyzacji i łamania przyrodzonych praw gospodarczych. Świat wraca powoli do wiary w istnienie nadprzyrodzonych praw, rządzących światem, zwłaszcza jego strukturą społeczno-gospodarczą, oraz do objektywnego traktowania zagadnień, wymagającego przedewszystkiem decyzji, nie zrodzonych z większości parlamentarnej, lecz wynikających z przykazań nauki i wiedzy fachowej. Wraca do swoich praw zdrowy rozsądek, głoszący m. in., że nie wolno Prawa łamać ustawą.

Współczesna więc wszechświatowa reakcja państwowej racji stanu przeciwko parlamentarnej demokracji za-

wdzięcza swoje powodzenie popieraniu jej przez jednostkę, zagrożoną coraz bardziej przez zachłanność ludowładczego państwa, negującego jej indywidualność i jej prawa na rzecz tłumu, w duchu egalitaryzmu i etatyzmu; wszak jednostka właśnie była gnębiona niwelacyjnemi tendencjami rządzących parlamentów i nadmierną ekspansywną siłą państwa w stosunku do obywateli. Demokracja amerykańska, która wytworzyła przyświecający dziś europejskiej reakcji ustrojowej ideał „rządzącego Prezydenta“ i opiera się w swoim ustroju gospodarczym właśnie o „prawa przyrody“, daleka od niemądrego ignorowania pożyteczności istniejących nierówności ludzkich, obwieszczając ongiś zdumionemu światu „prawa człowieka i obywatela“, umieściła w swojej deklaracji znakomity artykuł szesnasty, głoszący, że „społeczeństwo, w którem ... rozdział władz nie jest przeprowadzony, nie ma konstytucji“. Bez tego artykułu odpada cała zasada kontroli z jednej i odpowiedzialności z drugiej strony. Deklaracja zaś praw człowieka i obywatela, ogłoszona w r. 1793 przez rządzącą wszechwładnie Konwencję francuską, nie zawiera owego artykułu szesnastego. Zastępuje również wolność religijną, będącą warunkiem zasadniczego pojęcia demokracji amerykańskiej, „tolerancją“, oraz zawiera daleko idące zmiany w kierunku etatystycznym i równościowym. Taka to demokracja stworzyła „wielką rewolucję“, która wstrząsnęła fatalnie podstawami praworządności na świecie i taka to demokracja narzucona została pozostałym względnie wskrzeszonym i przebudowanym po wielkiej wojnie państwom.

Nic dziwnego, że nie mogła wytrzymać naporu rzeczywistości. Zerwał z nią zresztą pierwszy Napoleon, którego zamach stanu stał się odtąd wzorem dla wszystkich późniejszych i współczesnych ruchów „przeciwrewolucyjnych“. Przesilenie ustrojowe przechodzi obecnie cała Europa, a nawet Ameryka, jak wskazują na to ostatnie zamachy stanu w państwach Ameryki Południowej. Przesilenie to doprowadziło do obalenia demokracji parlamentar-

nej przedewszystkiem w tych państwach, które ze względu na niski stan kulturalny i cywilizacyjny mas ludowych najmniej były przygotowane do znoszenia ustroju, eliminującego wszystkie krępujące jednostkę autorytety (religijne, rodzinne, stanowe, zawodowe i t. d.), a zastępującego je autorytetem państwa, względnie narodu („la souveraineté nationale une et indivisible“).

Znany ekonomista i polityk François Delaisi, oddając się złudzeniu o doskonałości demokracji, a przypisując niepowodzenie jej w tylu już państwach „nieprzygotowaniu“ ich do tak szybkiego postępu, dzieli Europę na dwie części: Europę konia parowego i Europę konia żywego, podzieloną linją, przechodzącą przez Stockholm, Gdańsk, Kraków, Budapeszt, Florencję, Barcelonę i t. d., pozostawiając z jednej strony państwa, rządzone demokratycznie, po drugiej dyktatury, względnie parlamenty bez wpływu. Nie wdając się w analizę zastrzeżeń co do politycznej i gospodarczej ścisłości tej linji w obecnej chwili, stwierdzamy z miejsca, że podział ten, zdaniem naszem, jest jedynie chwilowy, gdyż i państwa, które ze względu na swoje tradycje i bardziej utarte, a zatem i odpowiedniejsze formy ustrojowe bronią się jeszcze przed reakcją antyparlamentarną, zdają się znajdywać w przededniu analogicznych przewrotów, oby bezkrwawych i ewolucyjnych, lecz nieuniknionych. Taka n. p. Francja jest przecież klasycznym krajem macierzystym nietylko rewolucji, lecz i kontrrewolucji; ona to wydała nietylko Dantona i Robespierre‘a, lecz i twórców termidorjańskiej reakcji przeciwko „komunizmowi, etatyzmowi i nędzy“. Ona to przedewszystkiem wydała wielkiego Napoleona, który pozostanie na zawsze wzorem każdej porewolucyjnej dyktatury, ona to przeżywała rewolucję lipcową, lutową i komunę paryską, oraz zamach stanu Napoleona III i kontrrewolucję Macmahon‘a. Nic więc nie zabezpiecza obecnie demokracji francuskiej przed zjawieniem się nowego pogromcy. Gdy nie tak dawno jeszcze fatalne rządy kartelu partji lewicowych doprowadziły Francję nad skraj

przepaści, zdaniem naszem, tylko powierzenie w ostatniej chwili pełni władzy p. Poincaré, który stał się prawdziwym zbawcą swojej ojczyzny, ocaliło ową zgniłą do szpiku kości demokrację; jakież korupcje i bankructwa moralne odsłaniają w całej zgrozie obecne rewelacje, w związku ze skandalicznemi sprawami spekulacyjnemi słynnej pani Hanau i banku Oustric'a! Głośno, aż nazbyt głośno mówiono wówczas o przygotowującym się jakoby zamachu na parlament. Tworzyły się pospiesznie drużyny faszystowskie, które w liczbie kilku tysięcy odbyły nawet imponujący przegląd w Verdun; liczyły one na pomoc znacznej części wojska dla ocalenia państwa. Mówiono nawet o popularnym generale de Castelnau, bożyszczu katolików francuskich, jako szefie przyszłego rządu?! Jakkolwiekbądź, świadczy to wyraźnie o sile tych nastrojów.

Nadzwyczaj popularna prasa magnata finansowego Coty'ego (słynnego fabrykanta perfum), „Figaro" i „Ami du Peuple", daleko skuteczniejsza od szowinistycznej i demagogicznie-monarchistycznej „Action Française", potępionej, jak wiadomo, przez Watykan, prowadzi agitację przeciwko „integralnej demokracji parlamentarnej" i narażaniu najżywotniejszych interesów państwa na ślepy los głosowań parlamentarnych. A przecież dzieje parlamentaryzmu francuskiego, chociażby ostatnich kilku miesięcy czy lat, udowadniają tak oczywiście całą niemoc tego ustroju, całą niewspółmierność pomiędzy zadaniami mocarstwowemi najpotężniejszego i najbogatszego państwa kontynentu europejskiego, a słabością rządu, niezdolnego do jakiejkolwiek polityki na dalszą metę. Jest on wszak stale narażany na obalenie w izbie, podzielonej na nienawidzące się wzajemnie — głównie na tle walki masonów z antymasonami — obozy, z których dosłownie „jeden ciągnie do sasa, a drugi do lasa", obok niezdecydowanych, chwiejnych elementów pozbawionego wszelkiej spoistości środka. Każdemu ambitnemu, pełnemu najlepszych chęci i występującemu z konstruktywnym programem premjerowi poprostu ręce opadać muszą

przed taką izbą, zmienną, jak wiatr, kapryśną, nastrojową i pozbawioną — biorąc ją jako całość — poczucia odpowiedzialności. A czyż zagadnienie „zmierzchu parlamentaryzmu“ jest mniej dostrzegalnem w Anglji, gdzie dawne zasady większości rządowej, nieszkodliwe dla kraju, póki chodziło o kolejne rządy liberałów i konserwatystów, doprowadziły obecnie, z chwilą pojawienia się na widowni, jako trzeciego partnera, labourzystów, — zdecydowanych, acz kulturalniejszych od kontynentalnych towarzyszy, adeptów zabójczej dla wszelkiej gospodarki państwowej doktryny Marksa — do zupełnego impasu? Czyż i tam racja stanu nie ucieknie się do samopomocy kiedyś, gdy zawiodą wszelkie środki legalne uzdrowienia sytuacji, ujawniającej się z dniem każdym? Przecież ilość bezrobotnych doszła do 2½ miljonów, a więc wyrosła o przeszło miljon głów od czasu objęcia rządów przez socjalistów wraz z ich słynnym systemem „ubezpieczeń społecznych“! A co dopiero powiedzieć o Niemczech, gdzie jedna trzecia głosujących przy wyborach do Reichstagu głosowała za partjami wywrotowemi, propagującemi dyktaturę (nacjonalistyczną względnie czerwoną) na miejsce zbankrutowanej w najszerszej opinji demokracji parlamentarnej, niezdolnej do zabezpieczenia masom chleba. Przecież rząd Rzeszy zmuszony jest do przeprowadzenia najważniejszych ustaw drogą dekretów, nie mogąc liczyć na większość w parlamencie, a jedynie na niechęć socjalistów do zaryzykowania przez jego obalenie powołania rządu nacjonalistycznego!!

Nie ulega wątpliwości, że, poza większą lub mniejszą dojrzałością polityczną społeczeństw i stopniem przyzwyczajenia ich do parlamentaryzmu, ogromną rolę w przyspieszeniu względnie odkładaniu zasadniczego procesu reakcji ustrojowej odgrywa posiadanie przez dany naród autorytetu nadrzędnego, większego w pojęciach najszerszych mas od konstytucji pisanej. Taki autorytet posiadają niewątpliwie monarchje, taki posiada Polska w osobie marszałka Piłsudskiego, Czechosłowacja

w osobie prezydenta Masaryka i Niemcy w osobie Hindenburga. Już p. Poincaré we Francji tak powszechnego miru nie zażywa, choć autorytet jego jest duży. A przyznać trzeba, że w krytyce rządów integralnego parlamentaryzmu we własnym kraju, oraz gospodarki „panów posłów“, w licznych wywiadach i artykułach, zbliżał się on niejednokrotnie do tez marszałka Piłsudskiego, choć mniej drastycznych używając wyrazów.

Anglja zaś znajduje się niewątpliwie w położeniu najgorszem. Z jednej strony rola Korony została tam zredukowana do czysto formalnego reprezentowania majestatu państwa na zewnątrz i na wewnątrz, z drugiej zaś żaden ze współczesnych mężów stanu nie wyrósł ponad poziom partyjnego współzawodnictwa i walki kapitału narodowego z destrukcyjną siłą socjalizmu. Inna rzecz, że właśnie Anglja stanowi sama sobą najsilniejszy argument w obronie ustroju monarchistycznego. Tylko bowiem autorytet nadrzędny Korony, jako symbolu, umożliwił utrzymanie zewnętrznej jedności Imperjum, pomimo uznania kolojno faktycznej niepodległości tak Irlandji (po walce rewolucyjnej), jak i wszystkich dominjów zamorskich, Południowej Afryki, Nowej Zelandji, Australji, Kanady i t. d. Tenże autorytet wyłącznie umożliwi Anglji kompromis ugodowy z nacjonalizmem niepodległościowym i rewolucyjnym Indji! Niemniej rządy socjalistyczne najlepszą są propagandą przeciw demokracji. Znany pisarz Bulloc odrzuca ją wręcz, widząc ustrój idealny w patrjarchalnej władzy głowy państwa, króla, jako jedynego suwerena i uosobienie narodu, gwarantujące ponadpartyjność i ponadklasowość rządów.

Jakkolwiekbądź, najłatwiej reakcja ustrojowa dała sobie radę z demokracją parlamentarną w monarchjach, w Hiszpanji, Bułgarji, Jugosławji i Włoszech. W Grecji właśnie tylko obalenie uprzednie monarchji uniemożliwiło utrzymanie się dyktatury generała Pangalosa. W Hiszpanji nie załamał się bynajmniej autorytet Korony, jako wyższy od konjunktur, jedynie dyktatura gen. Primo de Rivera.

Upadł nie system rządzenia, ale jedynie błędny kierunek jego polityki, wpadającej coraz bardziej w etatyzm oraz interwencjonizm gospodarczy i ucisk fiskalny, tudzież w podnoszenie łamania prawa pisanego do systemu, uświęconego podpisem królewskim. Kwalifikując sam swoje dekrety jako „poza prawne“, zmuszał dyktator prawie sądy do nieuszanowania ich. Podkopywał powagę monarchji, zapominając, że rozumna reakcja ustrojowa, dla której dyktatura może być tylko środkiem do celu, jak to zresztą wyznawał, uzasadniając swój zamach stanu, musi czemprędzej zastąpić złe prawo prawem lepszem, innem. Niema nic niebezpieczniejszego, jak utworzenie próżni ustrojowej i impasu prawnego, które, im dłużej trwają, tembardziej podkopują poczucie prawa w społeczeństwie i podważają zasadę praworządności. Coprawda generał hiszpański, którego tragedją stała się może właśnie zbyt wielka ambicja czynienia dobrze i uszczęśliwienia społeczeństwa, oświadczył, że o ile „dyktatura nie może i nie powinna odpowiadać za naruszenia legalności ... powinna odpowiadać za naruszenia moralności ...“ Zapomniał jednak, że jego obowiązkiem było uzgodnienie moralności z legalnością, czyli przywrócenie autorytetu prawa Bożego i przyrodzonego, jako podstawy i źródła wszelkiej legalności ludzkiej. Zachowując te sprzeczności pojęć i dwutorowość norm prawnych, sam podstawił nogę swojemu systemowi. Niemniej zasługi jego dla Hiszpanji, zwłaszcza w dziedzinie podniesienia jej prestiżu zagranicznego, rozwoju gospodarczego i usprawnienia administracji, pozostaną ogromne. Gdyby nie podważenie waluty dzięki intrygom dotkniętych w dotychczasowych swych pasorzytniczych przywilejach obcych trustów naftowych, byłby się zapewne utrzymał. Że zaś Hiszpanja bynajmniej nie jest, jako całość, przesiąknięta tęsknotą za powrotem do demokracji parlamentarnej, dowodzi tego zupełne fiasko — nietylko militarne, lecz i w opinji publicznej — ostatniej „rewolucji“ republikańskiej. Strach przed zbyt widoczną ręką Moskwy powstrzymał za-

pały również i umiarkowanych demokratów. Piękny gest heroiczny garstki zapaleńców, będących nieświadomem narzędziem w ręku działających w ukryciu ciemnych sił obu czerwonych międzynarodówek i masonerji, załamał się w obliczu tak energji rządu, jak i obojętności mas. Przysłuchują się one może chętnie temu czy innemu płomiennemu mówcy, broniącemu „praw ludu“ przed tyranją, lecz conajmniej równie chętnie oklaskują króla; w każdym razie są obojętne wobec przemawiających rzekomo w ich imieniu przywódców „opozycyjnych“. Obecny zaś rząd generała Berenguera nie zdradza wcale skłonności do oddania władzy w ręce parlamentu, ale jedynem jego przeznaczeniem wydaje się być ułatwienie zorjentowania się w panujących nastrojach oraz znalezienie wśród silniejszych i państwowotwórczych ugrupowań nowych podstaw społecznych dla przyszłych rządów, na miejsce utraconych w wyniku załamania się zaufania społeczeństwa do poprzedniej dyktatury. Król Alfons nie kwapi się bynajmniej do skapitulowania przed zasadą demokracji parlamentarnej, którą nieuleczalny marzyciel Santiago Alba zaleca Hiszpanji jako rzekomo jedyne zbawienie — monarchji!

W drugiem państwie półwyspu Iberyjskiego, w Portugalji, dyktatura gen. Carmony w całej pełni spełnia swoje dziejowe zadanie, porządkując finanse, usprawniając administrację, zapewniając krajowi niebywały dotąd rozkwit cywilizacyjny. To też wszyscy są zadowoleni i mowy niema o powrocie do partjokracji. Celem jej zaś jest i pozostanie nadanie państwu nowej, nowoczesnej, wolnej od demoliberalizmu i marksowskich naleciałości konstytucji.

Dyktatura jugosłowiańska, na równi z hiszpańską, wprowadzona została nielegalnie, poprostu unieważnieniem konstytucji dekretem królewskim. Niezmierna popularność i ogromne usługi wojenne i powojenne króla Aleksandra umożliwiły skuteczność tej bezkrwawej operacji. Impulsu ani pomocy dyktatura królewska nie szukała w żadnych istniejących organizacjach partyjnych czy społecznych.

Ogromna, przytłaczająca większość społeczeństwa uznała przewrót jako słuszną i jedynie możliwą reakcję przeciwko długoletnim rządom klik, partji i aferzystów, przeciwko nieznośnej centralizacji i niwelacji życia publicznego, przeciwko „schłopieniu“ chorwacko-słowiańskich prowincji o wyższej kulturze zachodniej przez fanatyków demokracji „jednowarstwowej“, przeciwko marnowaniu ziemi dla doktrynerskich i demagogicznych eksperymentów „reformy rolnej“, przeciwko niesłychanemu uprzywilejowaniu inwestycyjnemu i podatkowemu prowincji staro-serbskich, przeciwko potwornej deprawacji obrad parlamentarnych, których szczytowym momentem było zamordowanie w czasie posiedzenia szeregu posłów chorwackich. Jak nas objaśnia publicysta Hermann Wendel, autor pracy o Jugosławji w „Prozess der Diktatur“, nie było oporu przeciwko ustanowieniu dyktatury, ponieważ „kierownicy partji czuli się zbyt słabi“, ponieważ „w masach nikt dla tej karykatury parlamentu palcem ruszyć nie chciał“ i ponieważ „z pośród wszystkich czynników życia publicznego, Korona korzystała z największego zaufania“. A trzeba wiedzieć, że autor ten jest przeciwnikiem dyktatury, a zwolennikiem „idealnego“ parlamentaryzmu.

Rezultaty dyktatury jugosłowiańskiej, jak dotąd, usprawiedliwiają najzupełniej dokonany zamach stanu. Decentralizacja administracji i podział państwa na obszerne jednostki regjonalne usunęły z miejsca główne powody sporu pomiędzy centralizmem Serbów a autonomizmem Chorwatów. Gruntowna sanacja stosunków biurokratycznych usunęła korupcyjny wpływ klik partyjnych i aferzystów. Oszczędnościowe reformy zabezpieczyły równowagę budżetu i przygotowały grunt pod wielką pożyczkę amerykańską. Lud chorwacki, przywiązany do monarchji i zadowolony z odzyskania przez Zagrzeb właściwej roli, jako drugiej stolicy państwa, poczuwa się do patrjotyzmu jugosłowiańskiego. Nieprzejednani Chorwaci stanowią obecnie tylko garstkę, daremnie przeciwstawiającą się fali

powszechnego entuzjazmu dla dyktatury królewskiej, będącej zresztą z natury rzeczy tylko stanem przejściowym, aż dojrzeje sytuacja do nadania państwu nowej, bardziej odpowiadającej jego potrzebom konstytucji.

Niemniej charakterystycznym jest również eksperyment turecki, gdzie dyktatura zastąpiła odrazu zbankrutowaną nie ustrojowo, lecz politycznie monarchję.

W Turcji Mustafa Kemal należy niewątpliwie do wybitniejszych mężów stanu obecnego wieku. Nietylko uratował swą ojczyznę, ale ją także odrodził. Bez władzy dyktatorskiej, rzecz prosta, nigdy nie mógłby tego dokonać. Dyktatura była mu potrzebna przedewszystkiem celem uwolnienia państwa od cudzoziemskiej okupacji, dla wojny z Grekami i zawarcia korzystnego i honorowego pokoju w Lozannie. Bez dyktatutry nie mógłby się uporać ani z reakcją, ani podnieść poziomu obyczajowego i kulturalnego swego kraju. Ale i tu ujawniła się odwrotna strona dyktatury. Wielkiego dzieła dokonał dyktator, opierając się na niewielkiej grupie swych zwolenników, ale masy tureckie nie brały w tem udziału. W kraju niema dotąd nadających się do organizacji partyjno-politycznej sił społecznych. Mustafa Kemal zdecydował się na ciekawy, jedyny w swoim rodzaju eksperyment. Rządząc krajem po dyktatorsku i opierając się wyłącznie na stworzonej przez siebie i słuchającej ślepo jego rozkazów partji ludowej, wystąpił z inicjatywą utworzenia partji opozycyjnej, liberalnej. Zadanie to powierzył swemu przyjacielowi, do którego żywi zupełne zaufanie, b. posłowi tureckiemu w Paryżu, Fethi beyowi. Partja ta powstała jako „opozycja Jego Królewskiej Mości“ przeciwko rządowi Izmet paszy z programem, zatwierdzonym przez dyktatora. Na prowincji tworzyły się komitety lokalne tej partji, powstała prasa, która, korzystając ze względnej swobody, rozpoczęła kampanję przeciwko ministrom i partji ludowej, wykluczając z walki politycznej jedynie osobę dyktatora. Eksperyment się jednak nie udał, gdyż wobec ogólne-

go prądu na świecie, idącego przeciwko partyjno-politycznym koncepcjom demokracji, był anachronizmem. Organizacja społeczeństwa, tam, gdzie jeszcze nie istnieje, powinna iść odrazu w kierunku szukania odpowiedników politycznych dla pionowo pojmowanych (w przeciwieństwie do poziomego podziału na klasy) interesów gospodarczych i zawodowych, w ramach zasad solidaryzmu społecznego.

Pomijamy w tem zestawieniu antyparlamentarne systemy państwowe, w których, po dokonaniu „kontrrewolucji"; zapanowały z powrotem normalne stosunki konstytucyjne, aczkolwiek, jak np. na Węgrzech, całkowicie odmienne od koncepcji „parlamentu rządzącego" i „powszechnej demokracji wyborczej", a więc zgodne raczej z celem, ku któremu zmierzają dopiero dyktatury. Pomijamy również faszyzujący ruch „lappowców" w Finlandji, który coprawda „wygrał wybory", lecz poza marszem chłopów na stolicę, nie umiał jeszcze dotąd wprowadzić do ustroju państwa elementów, upodabniających jego zasady do wytycznych współczesnej reakcji racji stanu w tylu państwach Europy. Pomijamy również roztrząsanie szczegółów dyktatury litewskiej, jako dość prostackiej i pozbawionej ciekawszych rysów programowych.

Pierwowzorem dla współczesnych dyktatur i reakcji ustrojowych pozostaje w każdym razie faszyzm włoski. Zaczął się on, co nie wszystkim wiadomo, jako obóz „walki z partyjnictwem", na razie bez ujawnionego programu, pomimo niecierpliwego nalegania ze strony politycznych przeciwników. Pierwszy ogłoszony jego program był społecznie bardzo radykalny, żądał np. wybieralności urzędników, jednoizbowości, zniesienia tytułów i służby wojskowej, powszechnego rozbrojenia, konfiskaty dóbr (nawet kościelnych), kapitałów i zysków wojennych, zapłacenia długów wojennych przez klasy posiadające, ograniczenia własności wogóle, daleko idącego etatyzmu ubezpieczeniowego, wol-

ności przekonań, prasy i stowarzyszeń, uspołecznienia środków produkcji (wraz z kolejami) pod egidą związków fachowych, ziemi dla robotników rolnych, bezpłatnych bibljotek, przywilejów specjalnych dla b. uczestników wojny i t. d. i t. d., wreszcie międzynarodowego związku państw! Jakżeż daleko takiemu programowi do miana „dyktatury idei nacjonalistycznej", jakie mu nadaje p. Irena Panneńkowa w swojej pracy „Od Cezara do Wilhelma"! Taki to program ogłosił Mussolini, były antymilitarysta, b. redaktor socjalistycznego „Avanti" (Naprzód) w r. 1919, dwa lata po powstaniu ruchu faszystowskiego. To wszystko były jednak tylko środki do celu. W sławnej mowie, wypowiedzianej 20 września 1922 r., powiedział Mussolini: „Nasz program jest bardzo prosty, my chcemy rządzić Italją"! Był on wówczas jeszcze republikaninem, od wojny światowej, którą zwalczał początkowo, a potem stał się wielbicielem i entuzjastą idei mocarstwowej i nawrotu do imperjalistycznych tradycji Rzymu, którego spadkobiercę widzi we współczesnych Włoszech. Według Hellera „wszystkie idee były tylko ideologicznemi przysłonami irracjonalnej woli, która w odwiecznej walce elit społecznych posługuje się w zależności od czasu i miejsca najskuteczniejszą ideologją dla opanowania władzy". W 1904 r. jeszcze zdecydowany ateista i anarchista, stał się Mussolini w czasie wojny płomiennym patrjotą, a w 1920 r. jesienią głosił już hasło „wszystko dla państwa" (choć jeszcze na początku tegoż roku pisał o konieczności zniszczenia państwa, tak mieszczańskiego, jak i socjalistycznego). Stanął wówczas na czele reakcji społecznej przeciw wzrastającemu komunizmowi, z którą początkowo współdziałał, choć zastrzegał się wówczas jeszcze, że „należy unikać nadawania faszyzmowi charakteru konserwatywnej reakcji". Próbował jeszcze w 1921 r. ugody pomiędzy faszyzmem a katolickimi ludowcami i socjalistami. Lecz ruch reakcyjny porwał go i nie chcąc tracić przewodnictwa, sam szedł coraz bardziej na prawo. Nie ulega wątpliwości, że brutalne sposoby walki

faszystów z przeciwnikami, słynny ich teror i t. d., nie były po myśli Mussoliniego, który jednak w chwili walki o władzę nie chciał osłabić własnych szeregów sporami o takie „drobnostki“, chociaż sam później był zmuszonym do gruntownej „czystki“ po okropnej sprawie zamordowania Mateottiego. Ilości ofiar faszyzmu po dziś dzień jeszcze nie da się ustalić. Brutalność „czarnych koszul“ doszła do tego stopnia, że długo jeszcze po zagarnięciu władzy Mussolini musiał się borykać z ciągłemi nadużyciami na tem tle, w warunkach państwa policyjnego oczywiście niełatwemi do wyplenienia. Dziś już „terror“ czarnych koszul wykonywany jest w rękawiczkach, acz stanowczość nic na tem nie ucierpiała. To też i skargi na „przymus“, tak moralny, jak i fizyczny, nie ustają ze strony „liberalnych“ i opozycyjnych Włochów w stosunku do panującego regimu i jego partji.

Obecnie faszyzm stał się wyrazem nietylko bezwzględnej negacji parlamentaryzmu, lecz i najbezwzględniejszego nacjonalizmu i imperjalizmu, w formie arystokratycznego monarchizmu, opartego o materjalistyczny kult dla potęgi państwa. Zdaniem Corradiniego, ojca duchowego włoskiego nacjonalizmu, patrjotyzm i nacjonalizm są przeciwieństwami; patrjotyzm bowiem jest altruistyczny, żądający „służby ojczyźnie aż do śmierci“, nacjonalizm zaś egoistyczny, uważający naród jako „potęgę, która ma obywatelom przynieść pożytek“. Faszyzm jednak nie mógł i nie może z natury rzeczy konsekwentnie stosować teorji nacjonalistycznej, właściwej demokracjom „narodowym“. To też widzimy w polityce włoskiej szereg sprzeczności, tak w dziedzinie zewnętrznej, jak i wewnętrznej, wynikających właśnie z walki pomiędzy nacjonalistyczną koncepcją omnipotencji, egoizmu i tyranji zbiorowości a właściwą, świadomą czy półświadomą, wytyczną współczesnej ewolucji przeciwrewolucyjnej, reakcji ustrojowej — owego nawrotu do pojęć prawnopaństwowych z przed zburzenia Bastylji, odbudowywanej obecnie przez rację stanu w interesie ochro-

ny jednostki przed uciskiem „demokracji“ i obrony indywidualności przed niwelacyjnym walcem egalitaryzmu, zawartego w perfidnem, obłudnem haśle masonerji rewolucyjnej „wolność, równość, braterstwo“.

Niewątpliwie faszyzm nie skrystalizował się jeszcze ostatecznie, przechodząc dopiero ostatnie może już etapy. Pójdzie niewątpliwie w tym kierunku, jaki mu wskażą konieczności gospodarcze, one bowiem dzisiaj panują coraz silniej nietylko nad polityką międzynarodową, lecz i nad wewnętrzną każdego państwa. One to właśnie są główną przyczyną powstawania dyktatur i dokonywania zamachów stanu. Życie bowiem jest silniejsze od woli ludzkiej. Nie można było bez końca łamać praw przyrodzonych i naginać elementarnych kanonów gospodarczych do widzimisię doktrynerów i demagogów. Przebrała się miarka. Skończyć się musiała możność uchwalania ustaw, sprzecznych z naturą ludzką, z przyrodą, z przykazaniami Stwórcy! Na zarozumiałość i pychę ludzi, przeczących Boskiemu pochodzeniu władzy i uzurpujących sobie prawo gospodarzy wszechmocnych na tej ziemi, musiały się znaleźć narzędzia Opatrzności i bicze Boże, celem doprowadzenia świata do równowagi.

Faszyzm włoski jest klasycznym przykładem przekształcenia się ruchu społecznie radykalnego, lecz głęboko patrjotycznego, pod przewodem ludzi rozumnych, światłych i bezinteresownych, w reakcję przeciwko wybujałościom demagogji, przeciwko reformie rolnej, przeciwko etatyzmowi, przeciwko socjalizującej polityce finansowej, przeciwko instytucji powszechnego głosowania, jako źródła władzy i prawodawstwa, przeciwko ograniczaniu kapitału i jego swobodnego rozwoju przez niedorzeczne teorje demagogiczne, przeciwko walce klas i wyzyskowi radykalistycznemu, przeciwko centralizującej całe życie państwowe biurokracji, przeciwko wreszcie podważaniu autorytetu wiary i rodziny, a więc przeciwko tym wszystkim aberacjom „postępowym“, w które za młodu wierzył sam Mussolini

i w imię których początkowo organizował swoich zwolenników. To też zawarcie ugody z Watykanem było i jest najlepszym przykładem zorjentowania się genjalnego wodza faszyzmu we właściwych zadaniach współczesnej reakcji ustrojowej. która, przywracając autorytet państwowej racji stanu na gruzach strzaskanej idei ludowładczej, rzuconej przez morderców Ludwika XVI, musi w interesie własnym przywrócić przedewszystkiem autorytet najwyższy, autorytet religji, uosobiony dla katolików w papiestwie. Dla każdej dyktatury polityka laicyzująca jest samobójczą, a to właśnie stanowi największą słabość obecnego ustroju Turcji. Jesteśmy oczywiście dalecy od idealizowania obecnego ustroju Włoch, którego ujemne strony niejednokrotnie podkreślaliśmy; chodzi nam w tym wypadku tylko o objektywne stwierdzenie jego tendencji zasadniczych, zgodnych ze współczesną ewolucją ustrojową Europy. Nie ulega wszakże wątpliwości, że wadą organiczną faszyzmu jest wyłączne narzucenie całego ustroju z góry, bez należytego wciągania do współpracy społeczeństwa, wyłączonego właściwie z życia państwowego na rzecz zastępującej jego miejsce partji, będącej znowu li tylko narzędziem dyktatury. Upaństwowienie partji w konstytucji włoskiej musi budzić najdalej idące obawy i zastrzeżenia. Syndykaty włoskie są jedynie narzędziem dyktatury. Zdaniem prawnika włoskiego Enrico Ferri „faszyzm jest w gruncie rzeczy niczem więcej, jak falą reakcji przeciwko powojennemu bolszewizmowi i słabości państwa wobec stronnictw politycznych“. Zamiast partjom, państwo ulega dobroczynnym wpływom gospodarki. „Die Bilanz ist stärker als die Diktatur“.

Jakkolwiekbądź, faszyzm włoski wykazuje ostatnio coraz bardziej wyraźną ambicję do roli uniwersalnej idei, przyświecającej właśnie reakcji ustrojowej we wszystkich państwach, przechodzących kryzys parlamentaryzmu. Powiedział to wyraźnie Mussolini w jednej ze swoich ostatnich mów, a prasa jego skwapliwie to nowe hasło podchwyciła.

W ten sposób faszyzm, dotąd uważany przez faszystów za właściwość włoską, nie mającą zastosowania w polityce międzynarodowej, stał się „artykułem na eksport“. Stosunki poszczególnych państw z Włochami stały się coraz bardziej zależnymi od sympatji lub antypatji kierowniczych obozów i mężów stanu do faszyzmu i nawzajem. Wykazaliśmy już w poprzednim numerze tego pisma, jak ogromny wpływ w stosunkach międzynarodowych ma masonerja, głosząca przedewszystkiem „ideały demokratyczne“, a więc z natury rzeczy wroga faszyzmowi i pokrewnym ruchom „reakcyjnym“, jako obrońcom „tronu i ołtarza“. Tem się znowu tłomaczą sympatje faszystowskie dla wszelkich reakcji przeciwko parlamentaryzmowi („sejmokracji“), a więc dla idei marszałka Piłsudskiego, dla dyktatury hiszpańskiej, tureckiej i litewskiej, dla reakcji węgierskiej i bułgarskiej, dla ruchu heimwehrowskiego w Austrji oraz hitlerowskiego względnie stahlhelmowego w Niemczech. Tem się tłumaczy także niechęć faszyzmu do demokracji francuskiej i czechosłowackiej, tudzież trudność ewentualnego przyjazdu „Il Duce“ do Anglji, pomimo najlepszych stosunków z jej rządem, z powodu „przesądów demokratycznych“ jej mieszkańców.

Mussolini uważa dominujące stanowisko w Europie demokratycznej i masońskiej (w jej „elicie rządzącej“) Francji za nieszczęście dla Europy, któremu gotów jest przeciwstawić — w niewątpliwem swem zaślepieniu — nawet Sowiety i Niemcy, igrając więc nieostrożnie z ogniem, przed którego niebezpieczeństwami uważa się za ubezpieczonego!? Jakkolwiekbądź, „La Tribuna“ wystąpiła niedawno z apelem do solidarności wszystkich obozów faszystowskich i faszyzujących, walczących z demoliberalizmem, integralnem ludowładztwem, masonerją i żydostwem. Apel ten ma oczywiście na oku m. in. bardzo wyraźnie bojówki hitlerowskie i stahlhelmowe w Niemczech, z których zwłaszcza hitlerowskie, tak ubiorem (bronzowe koszule), jak i hasłami bardzo się upodobniły do faszystowskiego pier-

wowzoru o najskrajniejszem zabarwieniu. Ten to właśnie motyw reakcyjny, „pachnący zamachem stanu“, a nie sympatje dla odwetowych i rewizyjnych tendencji nacjonalistów niemieckich powoduje ten dziwny skądinąd u „zaborców“ Tyrolu Południowego germanofilizm faszystowskich Włoch. Najchętniej widziałyby one w jednym szeregu bojówki nacjonalistyczne Niemiec i Austrji ze strzelcami Piłsudskiego i szaulisami Waldemarasa, ramię przy ramieniu w walce ze spadkobiercami rewolucji francuskiej, których „hegemonja w Europie“ oddawna jest solą w oku dumnych dziedziców rzymskich cezarów!

Sądzę, że apel powyższy nie trafia w Polsce na grunt podatny. Jesteśmy niewątpliwie tradycyjnymi przyjaciółmi Włoch, z któremi łączą nas wspomnienia wspólnych walk o wolność i zjednoczenie, wspólnie przelanej krwi w powstaniach i spiskach. Nigdy nie zapomnimy, że w włoskim parlamencie pierwsza w czasie wojny światowej zapadła uchwała, żądająca wskrzeszenia Polski niezawisłej. Jesteśmy też pełni podziwu dla genjuszu Mussoliniego, ogromnych jego zasług i wielkich idei faszyzmu. Włochy są i pozostaną dla nas wzorem w niejednej dziedzinie. Nie przestaniemy też pilnie śledzić za dalszym ich rozwojem wewnętrznym, by uczyć się na podstawie bogatych ich doświadczeń. Jesteśmy również głęboko przekonani o istotnej współzależności współczesnych kryzysów ustrojowych (tak samo, jak gospodarczych) i spowodowanych przez nie reakcji ustrojowych w poszczególnych krajach, oraz o niewątpliwej solidarności ideowej tych wszystkich, którzy dążą do odbudowania świata na podstawach prawa odwiecznego, przeciwstawnego masońskiej doktrynie demokratycznej rewolucji francuskiej. Jednakowoż nietylko szczególne położenie międzynarodowe Polski, zagrożonej na równi „burzą od wschodu“ i „Drang‘iem nach Osten“, zmusza nas do cokolwiek odmiennej koncepcji międzynarodowego układu sił w interesie naszego bezpieczeństwa. Pospieszne chociażby, w myśl przytoczonych powyżej

uwag, porównanie „analogji“ w ewolucjach wewnętrznych innych państw, objętych kryzysem ustrojowym lub rządzonych po dyktatorsku, każe nam ujmować nasze zagadnienie ustrojowe niezależnie od „bratnich ruchów“, cokolwiek może egoistycznie, lecz wyłącznie właśnie z punktu widzenia polskiej racji stanu. Nie wolno identyfikować wszystkich sposobów leczenia kryzysu ustrojowego. Tem mniej można na tej podstawie tylko budować sojusze. Właśnie położenie międzynarodowe Polski jest dla nas głównym argumentem takich, a nie innych postulatów ustrojowych, *konstytucja bowiem musi być dostosowaną przedewszystkiem do zewnętrznych potrzeb państwa.*

Nas poprostu nie stać na kosztowną i zbyt ryzykowną zabawę w demokrację. Szczególnie dziś, w okresie katastrofalnego przesilenia gospodarczego, postulat ten jest tembardziej na czasie. Przezwyciężenie tego przesilenia bowiem wymaga najkategoryczniej polityki dyktatorskiej, opartej o program na dalszą metę, czerpany z przykazań kanonów gospodarczych i nie mogący być nastawionym na jakiekolwiek kompromisy z partyjnymi dezyderatami, emocjonalnymi lub demagogicznymi, zmiennych większości parlamentarnych.

Konieczność ta jest ważniejszą i wyższą od wszelkich innych, chociażby najsłuszniejszych zastrzeżeń czy sentymentów. Nie możemy nikogo naśladować, gdyż warunki i motywy są wszędzie odmienne. Nie można ująć pod jeden strychulec całego ruchu „reakcyjnego“ w sposób zbyt prostolinijny i ślepy na istniejące głębokie różnice. Każdy naród ma rząd, na jaki go stać, każdy ma też dyktaturę, na jaką go stać. Jeżeli się nam więc to czy owo w naszych lokalnych warunkach nie podoba, to nie możemy oczu zamykać na elementarną prawdę, że niechcąc iść wbrew koniecznościom dziejowym, wskazującym nam zbyt jasno na potrzebę radykalnej zmiany ustroju i przebudowy ustawodawstwa w duchu zdrowego rozsądku i kanonów

ekonomicznych, wrogich demagogji i eksperymentom, musimy prowadzić politykę trzeźwego realizmu, a nie sentymentalnego romantyzmu. Winniśmy pamiętać, że u nas odbywa się walka pomiędzy faktyczną dyktaturą, ubraną obecnie w legalną formę większości parlamentarnej, dążącą do reformy konstytucji, a partjami, broniącemi — szczerze czy nieszczerze — ludowładztwa. Niema więc wyboru (jak np. w Ameryce Południowej, gdzie partje krwawo walczą o osoby dyktatorów).

Oto istota współczesnej sytuacji politycznej w Polsce. Pragniemy oczywiście wzorować się na wielu zdobyczach, już dokonanych, analogicznych reakcji ustrojowych w Europie, jednak bez wszelkiego ślepego naśladownictwa, a z ciągłą troską tak o specyficzne warunki Polski, jak i o przyświecające nam podstawowe zasady moralne. Zresztą marszałek Piłsudski pierwowzór swojej koncepcji „rządzącego prezydenta“, w przeciwstawieniu do rządzącego parlamentu, widzi właśnie w „demokracji amerykańskiej“, czyli we władzy jednostki, pochodzącej z powszechnych wyborów, wyższej autorytetem ponad atrybucje ciała zbiorowego, również z wyborów pochodzącego.

Jeśli chodzi o wzory obce, to pragnęlibyśmy oczywiście przejąć to, co dobre i dla naszych warunków stosowne, natomiast unikać wszystkiego, czego zastosowanie u nas byłoby oczywistym błędem. Jesteśmy oczywiście zdecydowanymi zwolennikami idei silnej władzy, przekonani o niemożliwości ziszczenia jej inaczej, aniżeli narzuceniem jej (do pewnego stopnia) zgóry, acz zawsze i wszędzie pierwszeństwo dawać należy stosowaniu środków legalnych, zgodnych z prawem formalnem, w interesie poszanowania poczucia praworządności w masach.

Społeczeństwo nasze z pewnością chętnie podporządkuje się władzy silnej a oświeconej, współdziałającej z elitą narodu, której wytwarzanie winno być jedną z elementarnych funkcji zreformowanego państwa współczesnego.

Doskonale ujmuje zadania reakcji ustrojowej w Polsce

Dr. Jan Bobrzyński w swojej pracy p. t. „Sprzeczności idei demokratycznej“:

„Ustrój wewnętrzny państwa musi być funkcją jego zamierzeń w polityce zagranicznej.

„Zniknąć musi z naszego ustroju, w rozpoczętej epoce pełniejszego obywatelskiego uświadomienia i objektywizmu, fikcja woli ludu i uszczęśliwienia mas drogą społecznego gwałtu i przymusu, bo jedno i drugie jest nierealnem i nierealność tę wykazało już chyba aż nadto dobitnie w ciągu zwłaszcza ostatnich dziesięciolеci. Na miejsce „woli ludu“ wstąpić musi realny interes warstw zawodowych, koordynowany z interesem państwa, a hasło forsownego uszczęśliwienia zastąpić winna objektywna myśl gospodarcza. Oba te postulaty są oczywiste na wyższym poziomie cywilizacyjnego uświadomienia, które wyklucza demagogiczną narkozę i taktykę wzajemnego buntowania warstw społecznych przeciw sobie.

„Czy przez zniszczenie tych utopji — nastąpić ma jakaś wsteczna, czy może „faszystowska“ reakcja? Nic podobnego. Objektywna myśl wyklucza wszelkie sztuczne kategorje politycznego myślenia. Ona stosuje się do praw naturalnej ewolucji, która nigdy wstecz się nie cofa, o ile nie zahamuje jej gwałtem jakieś doktrynerstwo polityczne czy socjalne. Na gruzach więc idei demokratycznej całkiem nowy powstaje porządek, gdzie ani starodawne przywileje (notabene kokietowane nieraz aż nazbyt przez oportunizm demokratyczny), ani wybryki emocjonalizmu socjalno-politycznego miejsca mieć nie mogą. Objektywna refleksja i rachuba, zmierzająca w prostej linji do urzeczywistnienia prawdziwie korzystnych dla ogółu, a możliwych do spełnienia zamierzeń, sprostować musi błędne drogi emocjonalizmu, nie poddając się żadnym sztucznym, utartym formom partyjno-politycznej organizacji.

„Wracając jeszcze do poruszonego poprzednio, a tak specjalnie w bieżącej dobie i we wszystkich państwach aktualnego zagadnienia parlamentaryzmu, stwierdzić może-

my, że wobec żywiołowego postępu „objektywizacji“ opinji publicznej rozpaczliwa walka starzejących się doktryn emocjonalnych „w obronie demokracji parlamentarnej“ staje się z dnia na dzień coraz więcej beznadziejną. Wprawdzie mowy być nie może o zniszczeniu parlamentaryzmu wogóle, gdyż jest on organicznym wykładnikiem wyższego poziomu cywilizacji i niezbędnej konieczności współdziałania w państwach politycznie i społecznie dojrzałych czynnika obywatelskiego z rządem, nadto zaś jest niezbędnym warunkiem publicznej kontroli, bez której najlepsza nawet forma rządów wyrodzić się może w swawolę. Ale parlamentaryzm dotychczasowy musi zmienić do gruntu treść i formę i dostosować się do wymogów epoki wzmożonego uświadomienia i oświecenia.

„Myśl objektywna nie cofa się więc wstecz, nie nawraca bynajmniej do jedynowładztwa czy dyktatury, której wypadki obecne uważa oczywiście tylko jako epizody, wywołane hipertrofją rządów demokratycznych. Nie cofa się też wstecz w kierunku regeneracji bezkrytycznego parlamentaryzmu sześcioprzymiotnikowego, stworzonego przez demagogiczną ochlokrację. *Dąży natomiast do stworzenia na miejscu obu tych przeżytków — absolutyzmu i ludowładztwa — czegoś nowego, dostosowanego racjonalniej do warunków dokonywującego się zwrotu społeczeństwa w kierunku trzeźwej ideologji objektywistycznej. Dąży do stworzenia parlamentaryzmu wprawdzie nadal powszechnego, ale już nie demokratycznego, w dotychczasowem znaczeniu tego słowa, lecz zawodowego.*

„W parlamentaryźmie tym odzwierciedlić się musi prostolinijna logika myśli objektywnej. Konstrukcja jego oprzeć się winna nie na jakichkolwiek względach czy przywilejach

klasowych, nie na rozczulającej, a wielce szkodliwej frazeologji równościowej, ale na fachowem przedstawicielstwie konkretnych interesów wszystkich pionowo zorganizowanych sfer zawodowych społeczeństwa. Politykę uważano dotąd (i uważa się niestety jeszcze w dalszym ciągu) za wypadkową pożądań klasowych, często nierealnych, utopijnych, często wprost destruktywnych i sprzecznych w praktycznych rezultatach ze swemi teoretycznemi założeniami. Dlatego to „politykowanie" było dotąd czemś jakgdyby oderwanem od życia i pracy społeczeństwa, jakąś naroślą czy pasorzytem na organiźmie życia publicznego, którego działanie skierowane było najczęściej przeciw najżywotniejszym interesom realnym wszystkich warstw bez wyjątku — w przeciwieństwie do rzucanych haseł. Tak pojmowana polityka nie utuczyła jeszcze żadnej warstwy obywatelskiej (poza pewną kliką ochlokratyczną), ani państwa. Zatamowała wyraźnie życie gospodarcze i kulturalne ciągłem rozpętywaniem zwierzęcych instynktów i namiętności. Nie stworzyła, bo nie była w stanie stworzyć, żadnego racjonalnego, konstruktywnego programu w jakiejkolwiek dziedzinie. Wytworzyła tylko pojęcie i zasadę uprzywilejowanej bezkarności reprezentantów „woli ludu", poniżając i wypaczając kompletnie słuszną w zasadzie myśl systemu reprezentacyjnego.

„To więc zmienić się musi radykalnie — w istocie i w szczegółach. Reprezentacja społeczeństwa, która ma decydować o losach ustroju głównych wytycznych ogólnopaństwowej polityki, nie może być osobiście mniej odpowiedzialną od każdego przeciętnego obywatela. Kodeks karny musi ją obowiązywać bez żadnego wyjątku. Nie wolno stwarzać przywilejów. Z drugiej strony parlament powinien być elitą społeczną, a nie śmietnikiem".

Oto streszczony zarys programowej roli Polski w okresie światowego przesilenia ustrojowego.

Adam Romer.

PROBLEM RUSKI NA WSI.

Autor niniejszego artykułu, właśc. majątku Sidorów, nad Zbruczem, piastuje od szeregu lat urząd wójta i komisarza rządowego w tej wsi, zamieszkałej po połowie przez Rusinów i Polaków. Uwagi jego mają więc walor bezpośredniego doświadczenia. (Red.).

Zeszłoroczne akty gwałtu ze strony niektórych przedstawicieli narodu ruskiego na całem niemal terytorjum Wschodniej Małopolski zmuszają do głębszego zastanowienia się nad zagadnieniem ruskiem.

Każde zagadnienie, im jest bardziej zaostrzone, tem bardziej staje się podatne do uczuciowego traktowania, przyczem kwestje czysto formalne, nie mające zasadniczego znaczenia, wysuwają się na plan pierwszy, nie pozwalając rozwinąć się spokojnej i rzeczowej dyskusji, którąby mogła sprawę wyświetlić.

Do takich właśnie kwestji formalnych należy pytanie: czy naród, o którym mamy pisać, ma się nazywać ukraiński, czy ruski? Obie te nazwy zdziałały już wiele złego, tamując z miejsca wszelką wymianę myśli między zainteresowanemi stronami. Dla strony polskiej sympatyczniejszą jest nazwa: „ruski“, dla strony przeciwnej — „ukraiński“. Pierwsza ma oznaczać ten odłam pobratymczego narodu, zresztą bardzo nieznaczny, który pragnie zgodnego współżycia z nami, druga symbolizuje niejako sumę tendencji, wrogich naszej państwowości. Pierwsza jest oparta na historji z czasów książąt ruskich z dynastji Ruryków, gdzie sam źródłosłów tego nazwiska zdawałby się wskazywać na nazwę „ruski“, jako bardziej uzasadnioną, druga znajduje wytłumaczenie raczej geograficzne, a nadto przyjęła się w poezji ludowej z czasów Chmielnickiego i swoją

właściwością fonetyczną, przemawiającą do duszy marzycielskiego narodu, wyrobiła sobie większe prawo obywatelstwa wśród niego od pierwszej, odrzucanej z największą niechęcią, jako synonim uległości wobec państw sąsiednich.

Zdaje się jednak, że powinno być wręcz przeciwnie: nazwa: „ruski“, jako historyczna, powinna oznaczać dążność do samodzielności, a nazwa: „ukraiński“, jako przedewszystkiem geograficzna, oznaczająca większe terytorjum, takie, jak np. Podole, Polesie i t. d., powinna wyrażać przywiązanie mieszkańców do tego terytorjum, bez względu na to, w skład jakiego państwa ono wchodzi.

Być może, że zapatrywanie to będzie uznane przez wielu Rusinów za błędne, dopóki jednak nie udowodni się nam tego, będziemy używali nazwy: „ruski“ właśnie dlatego, aby wyrazić prawo narodu, mieszkającego z nami i związanego z naszym ludem jak najbardziej związkami krwi, do kultury i bytu ekonomicznego, w równym stopniu, jak sobie tego sami życzymy.

Nie ulega wątpliwości, że represje, które były po aktach gwałtu konieczną reakcją, nie są środkiem do trwałego rozwiązania zagadnienia ruskiego, przeciwnie: są jakby narkotykiem, który chwilowo uśmierza jątrzącą ranę, aby ją w przyszłości jeszcze bardziej zaognić. Tu muszą się znaleźć inne środki, wymagające może większego wysiłku, bardziej długotrwałego, ale zato działające od samego korzenia.

W tym celu jednak należy postawić djagnozę: czy zagadnienie ruskie jest zagadnieniem społecznem, czy politycznem, czy też jednem i drugiem?

Chociaż Kozacczyzna nadała ruchowi Chmielnickiego pewien posmak polityczny, to jednak główną jego sprężyną były tylko sprawy społeczne. Pańszczyzna, bardziej rygorystycznie stosowana do niezmierzonych latyfundjów na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, niż w innych dzielnicach, bezwzględne rządy takich możnowładców, jak Jeremi Wiśniowiecki, musiały przyczynić się do zaostrzenia

różnic społecznych. Prócz tego sam kontrast z jednej strony wolnych aż nadto Kozaków, urządzających odważne wyprawy przeciwko Porcie i rozkoszujących się swobodnymi przestworzami na czajkach, unoszonych falami Dniepru, a z drugiej strony dola ludu wieśniaczego, przykutego do sochy i cepu, była tak wielka, iż musiała wywołać niezadowolenie z rządów naszej magnaterji. Tak więc względy społeczne, spotęgowane swoistymi warunkami ludu ruskiego, a nadto jego psychiką, jego marzycielstwem, stały się pierwszą przyczyną jego odruchów.

Po nich nastąpił dość długi okres względnej ciszy, a dopiero w ostatniem stuleciu poczucie odrębności narodowej, wspierane w zaborze austrjackim znaną polityką Habsburgów: „divide et impera“, oraz poczuciem odrębności obrządku, dało początek ruchowi politycznemu.

Można więc powiedzieć, że tło społeczne zagadnienia ruskiego było wcześniejsze od tła politycznego, epizody zaś występów politycznych Chmielnickiego nie mogą pod tym względem zmienić reguły.

Skonstatowanie tego faktu jest rzeczą bardzo ważną, bo jeżeli ruch społeczny jest chronologicznie pierwszym, a następnym dopiero jest ruch polityczny, który można uważać za objaw wtórny pierwszego, to, logicznie rzecz biorąc, należałoby usunąć przyczyny ruchu społecznego, aby usunąć, lub przynajmniej złagodzić, ruch polityczny narodu ruskiego.

Jednem słowem, należałoby zacząć poprawę stosunków z nim od spraw społecznych i społeczno-gospodarczych, które będą też przedmiotem niniejszych rozważań. Jakie są jednak środki, prowadzące do tego celu?

Możemy je podzielić na szczegółowe, mające przedewszystkiem zastosowanie do życia wiejskiego, i na ogólne, dotyczące całego narodu ruskiego.

Zaczniemy od pierwszych. Tutaj najważniejsze miejsce zajmuje spółdzielczość, pojęta w jak najszerszem tego słowa znaczeniu, ze starannem jednak wykluczeniem wszel-

kich zagadnień politycznych, co przy obecnem rozpolitykowaniu obu narodowości, zamieszkujących nieraz w równej niemal liczbie wieś Małopolski Wschodniej, musi być z wielkim naciskiem zaznaczone.

Trzy formy spółdzielczości zdobyły sobie już na wsi prawo obywatelstwa, które przy pewnem poparciu czynników miarodajnych i dobrej woli członków mogą oddać wielkie usługi dla rozwoju dobrobytu i kultury włościan. Są to organizacje, służące następującym celom: 1) ułatwienia produkcji i zbytu płodów rolnych i hodowlanych, 2) uprzystępnienia kredytu i 3) zaspokojenia potrzeb kulturalnych wiejskiej ludności.

Typy pierwszy i trzeci są do dziś podzielone na niezależne od siebie organizacje polskie i ruskie, z wielką szkodą dla celu, któremu one służą. I tak pierwszemu typowi, reprezentowanemu po stronie polskiej przez Kółka Rolnicze odpowiada po stronie ruskiej „Silskij Hospodar" lub t. zw. „Ukraińskie Kooperatywy", typowi zaś trzeciemu po stronie polskiej — Czytelnie polskie, lub Domy Ludowe, a po stronie ruskiej — „Proświty". Jedynie typ drugi, przedstawiający organizacje kredytowe, a więc Kasy Stefczyka, nie znajduje po stronie ruskiej, o ile mi wiadomo, dość ścisłego odpowiednika.

Ta ostatnia okoliczność może właśnie dlatego przyczyniła się najwięcej do zbliżenia obu narodów. Jasną jest rzeczą, że wiejska instytucja kredytowa, dobrze prowadzona, nie może udzielać kredytu według jakiegoś klucza narodowościowego, co jest nie do pomyślenia, lecz tylko na podstawie dokładnych informacji, dotyczących majątku i charakteru swoich petentów, będących równocześnie członkami, a temsamem musi być ta instytucja zupełnie apolityczną, traktującą na równi Polaków i Rusinów. Wszędzie, gdzie przestrzegano tej reguły, daje się zauważyć, mimo ogromnego kryzysu, znaczny wzrost obrotów pieniężnych, które w rocznych bilansach wyrażają się nierzadko w pokaźnych kwotach, po ćwierć i nawet pół miljona złotych, co, jak na

stosunki wiejskie Wschodniej Małopolski, jest wielkim postępem.

Ten sukces powinien zachęcać do stosowania tej samej reguły apolityczności w dwuch pozostałych typach organizacyjnych. Przejdźmy pobieżnie oba.

Kółka Rolnicze, w takiej postaci, w jakiej obecnie istnieją, zawiodły (z małymi może wyjątkami) pokładane w nich nadzieje. Cechą ich jest wybitna ekskluzywność narodowa, wskutek czego, opierając się na jednej tylko narodowości, nie mogły one prawie nigdzie nabrać szerszego rozmachu, a ograniczyły się jedynie do zakładania drobnych sklepików, których jedynem dodatniem działaniem było ułatwienie włościanom zbytu jaj, przez co wytwarzały pewną konkurencję dla wszechwładnych do niedawna sklepików żydowskich.

Prócz tych sklepików powstawały gdzieniegdzie jeszcze spółki mleczarskie, mniej lub więcej związane organicznie z Kółkami Rolniczemi. O spółkach maszynowych, niezmiernie ważnych spółkach meljoracyjnych dla podniesienia nędznego stanu pastwisk gminnych, o spółkach asekurujących bydło, nie było do tej pory mowy w Kółkach Rolniczych.

Analogicznie mniej więcej przedstawia się sprawa z Silskim Hospodarem lub Ukraińską Kooperatywą. I tutaj wyrazem ich działalności jest prawie wyłącznie prowadzenie sklepiku wiejskiego.

Jakżeż inaczej przedstawiałaby się sprawa, gdyby, zamiast dwóch instytucji o identycznych celach, pracowała na wsi jedna, oparta na udziałach wszystkich mieszkańców danej wsi! Niejedna inicjatywa, która z braku środków lub głębszego zastanowienia się nie mogła być dotychczas przeprowadzona, mogłaby się z łatwością urzeczywistnić. Nie mówmy, że chłop ruski jest bardziej zacofanym od polskiego, gdyż często bywa wprost przeciwnie. Karność organizacyjna jest u chłopa ruskiego bodaj czy nie większa, jak u polskiego! Kółka Rolnicze więc przez przyciągnięcie ele-

mentu ruskiego mogłyby tylko zyskać, a to tembardziej, że element ten jest dostępny dla ulepszeń technicznych. Gdy się jeździ po naszym kraju w porze siejby i widzi się małe siewniki rzędowe włościańskie, to prawie w większości wypadków są to siewniki, należące do Rusinów.

Przejdźmy teraz do czytelń polskich i do ruskich „Proświt". Prawie wszystkie większe wsie, gdzie ludność jest mieszana, posiadają „Proświtę" i czytelnię, albo już ukończoną, albo w budowie, lub przynajmniej w projekcie. Czyż nie jest to marnotrawienie wysiłków i skazanie, dla względów nacjonalistycznych, wszelkiej akcji kulturalnej na niepowodzenie?

Przeciętna wieś, posiadająca około 400 domów mieszkalnych, a zatem około 1.500 mieszkańców, nie potrzebuje dwóch sal teatralnych, dwóch bibljotek i t. d. Rezultatem tego jest, że oba budynki, postawione z wielkim nakładem ofiar, świecą pustkami. Ludność zniechęca się i w krótkim czasie dochodzi do przekonania, że jej grosz został zmarnowany.

Gdyby jednak obie te instytucje dało się połączyć, byłby jeden dom ludowy, służący tak Polakom, jak i Rusinom, ku wspólnemu pożytkowi jednych i drugich. Za zaoszczędzone pieniądze możnaby lepiej wyposażyć bibljotekę, założyć radjo i t. d. Tutaj w nawiasie należałoby nadmienić, że stacja radjowa lwowska powinnaby w swoich programach uwzględnić język ruski.

Współzawodnictwo, dotychczas tak źle spożytkowane, możnaby skierować na wzmożenie ilościowe odczytów polskich i ruskich, przedstawień i t. d., co znowu wyszłoby na korzyść obu stron.

Zapewne, że byłyby z początku trudności z łączeniem polskich i ruskich organizacji, zwłaszcza, jeżeliby chodziło o połączenie Proświt z czytelniami. Jak wiadomo, Proświty są budowane głównie w tym celu, aby były wśród ludu ruskiego ogniskiem nienawiści do Polaków. Musiałyby więc wpierw zejść z tego nieprzejednanego stanowi-

ska, aby można było myśleć o połączeniu ich z polskiemi organizacjami. Nie jest to jednak rzecz tak niemożliwa, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawało: wśród Rusinów jest wiele jednostek, które dla wielu korzyści, jakieby to połączenie przedstawiało, dałoby się nakłonić do pewnej zmiany swych poglądów. A gdy tylko raz będzie tutaj wyłom zrobiony, to reszty dokona dobry przykład.

Zdaje się, że nawet same okoliczności są tu sprzyjające, zważywszy, że wiele Proświt jest w stanie likwidacji, a trudności finansowe, z jakiemi walczą Silskie Hospodary względnie Ukraińskie Kooperatywy, mogłyby niejedną organizację ruską skłonić do połączenia się z polską.

Na tem wyczerpalibyśmy środki poprawy naszego stosunku z Rusinami pod względem społecznym, mające głównie znaczenie na wsi. Przejdźmy obecnie do środków bardziej ogólnych.

Tutaj bardzo ważną rzeczą jest sprawa zrównania kalendarza juljańskiego z gregorjańskim. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu można śmiało stwierdzić, że przeprowadzenie tej sprawy nietylko nie zaogni naszego stosunku z Rusinami, jak to przypuszczają niektórzy zwolennicy tradycji, lecz przeciwnie, polepszy go. Wielu światłych Rusinów przyznaje, że w obecnych czasach kryzysu gospodarczego, kiedy na jak największym wysiłku pracy powinno każdemu zależeć, sprawa ta jest bardziej pilną, niż kiedykolwiek przedtem. Nie chodzi tu o bardziej lub mniej racjonalną produkcję folwarczną, która jest wyłącznie w rękach polskich, a temsamem nie mogłaby być dostatecznym argumentem dla Rusinów dla zrównania kalendarza, lecz chodzi o dobro samych Rusinów. Istnieje na wsi mnóstwo małżeństw mieszanych, gdzie obchodzi się podwójne święta dla zachowania zgody pomiędzy poszczególnymi członkami rodziny, należącymi do dwóch narodowości. Jasną jest rzeczą, że przez to traci się około 25 dni w roku, co zwiększa bezrobocie i tak już porą zimową na wsi bardzo znaczne, przedewszystkiem jednak obciąża ogromnie bu-

dżet domowy, czego ze względów społecznych należy jak najbardziej unikać, skierowując zaoszczędzony grosz na inne tory.

Sprawa zrównania kalendarza byłaby, jak sądzę, łatwą do przeprowadzenia w porozumieniu z duchowieństwem ruskiem, a w ostateczności mogłaby być załatwioną przez nasze przedstawicielstwo przy Watykanie.

Drugim walnym środkiem w naszych rękach jest takie podniesienie dostojności naszego kościoła, takie wzmocnienie wiary w Polakach, że musiałoby to działać budująco na cerkiew, która niestety jest w wielu miejscowościach w upadku, tak pod względem moralnym, jak i materjalnym.

Lud ma głęboko zakorzenione poczucie, że Bóg jest ten sam w kościele, co i w cerkwi. Możnaby tu przytoczyć kilka przykładów, wziętych z życia, gdzie robotnik Rusin pracował cały dzień przy odnowieniu kościoła i nie chciał za to przyjąć żadnej płacy, ofiarowując swą pracę na chwałę Bożą. Nie ulega więc wątpliwości, że w ludzie ruskim tkwią szlachetne pierwiastki, które możemy pobudzić dobrym przykładem, urządzaniem misji po kościołach lub rekolekcji. Niejedno serce, pełne zawiści narodowej, pozbędzie się wtedy swego „nacjonalizmu“, rozdmuchanego przez inteligentów miejskich, lub perjodyczne czasopisma, których Rusini mają podobno przeszło 80.

Stawianie po wsiach kaplic, choćby najskromniejszych i odpowiednie uposażenie naszych proboszczów, którym zostaną powierzone te kaplice, jest sprawą niezmiernie ważną, dotychczas dziwnie przez nas lekceważoną. Nie zapominajmy, że dziecko, ochrzczone w cerkwi, choćby potem było wychowane w polskim duchu, uważa się zawsze za należące do cerkwi, a temsamem do narodowości ruskiej. A właśnie wskutek braku księży i kaplic, mnóstwo dzieci polskich jest chrzczonych w cerkwiach, jako łatwiej dostępnych. Stwierdzenie tego faktu jest tem ważniejsze, że nie język w życiu domowem jest podstawą do określania naro-

dowości (bardzo wiele rodzin czysto polskich używa w domu niestety tylko języka ruskiego), lecz tylko obrządek.

Trzecim środkiem jest odpowiednia taktyka nasza w stosunku do Rusinów. Należałoby mieć zawsze w pamięci tak dobrze znaną raguły, że każda akcja wywołuje reakcję. Jeżeli będziemy okazywać szowinizm narodowy Rusinom, to temsamem zmusimy ich do takiego samego postępowania z nami. Należałoby więc zwrócić baczną uwagę na odpowiedni dobór sił administracyjnych i nauczycielskich. Kwalifikacje tych ostatnich powinny być wysokie, z uwagi na dobre ich wyposażenie. Jest to ważne tembardziej, że od nauczyciela wiejskiego, jego energji i dobrej woli zależy w ogromnym stopniu rozwój życia spółdzielczego na wsi.

Prócz tego, dobór policji ma też ogromne znaczenie, gdy chodzi o taktowne i grzeczne traktowanie tak Polaków, jak Rusinów. Tutaj mają nasze władze wiele jeszcze do zdziałania, choć przyznać trzeba, że postęp jest już duży.

Wreszcie wspomnieć należy, że poprawie naszych stosunków z Rusinami przeszkadza ogromnie zupełny brak u nich warstwy ziemiańskiej, dawna bowiem ich szlachta uległa polonizacji, zachowując jednak przez długi czas jeszcze odrębny obrządek. Niema więc tej warstwy, która z natury rzeczy byłaby najbardziej odpowiednia, aby się stać pomostem między stroną polską i ruską. Nie zastąpią jej miejscy inteligenci ruscy, zazwyczaj bardzo skrajnych zapatrywań, z konieczności więc musimy zwrócić uwagę przedewszystkiem na zasobniejszych gospodarzy ruskich. Ci są elementem najspokojniejszym, najmniej podatnym na hasła separatystyczne, a przeto najprędzej daliby się pozyskać, coby przyciągnęło inne warstwy. Przy łączeniu Proświt z Czytelniami mogliby właśnie oni oddać największe usługi.

Na tem wyczerpalibyśmy mniej więcej wszystkie najważniejsze środki, którymi, poza dziedziną polityki, mogli-

byśmy rozporządzać dla unormowania naszych stosunków społecznych z Rusinami. Ale należałoby sobie postawić pytanie, co właściwie chcemy przez to osiągnąć? Nie jest przecież naszym celem polonizacja Rusinów. Mogliśmy wprawdzie zasymilować pewną ich część w warstwach wyższych i nie jest rzeczą wykluczoną, że udałoby się nam to i teraz, zwłaszcza w tych częściach Polski, gdzie, jak np. na Polesiu, Rusini nie mają jeszcze dość silnego poczucia narodowego; ale to właśnie nie może być bezwarunkowo naszym celem, jeżeli chcemy uszanować odrębną narodowość naszych współobywateli.

Jedynym celem naszym może być i jest takie ułożenie naszych stosunków z Rusinami, abyśmy mogli liczyć na ich lojalność państwową. A wtedy dopiero można będzie mówić o ustępstwach na polu politycznem.

Nie chcemy przybierać togi dobroczyńców i okazywać, że to, co dajemy, jest naszą łaską; takiem postępowaniem popsulibyśmy całą sprawę i zadalibyśmy kłam rzeczywistości. Należy bowiem otwarcie powiedzieć sobie, że my Rusinów potrzebujemy, tak samo, jak oni nas.

My musimy mieć lojalnych współobywateli, którzy w razie wojny nie będą zdradzać naszej armji tak, jak zdradzali swojego czasu armję austrjacką (co dziś, przy najnowszej technice, może być w skutkach bez porównania groźniejsze), a nadto potrzebujemy ludzi, którzyby w przyszłości mogli przydać się nam niezmiernie, gdyby naszej polityce otworzyły się widoki odzyskania granic z r. 1772. Jeżelibyśmy potrafili ułożyć stosunki nasze z Rusinami na mniejszem terytorjum, to podołalibyśmy najprawdopodobniej i tem większym trudnościom na większem.

Rusini zaś potrzebują nas dlatego, aby zyskawszy w nas silne i niezawodne oparcie, mogli rozwijać się kulturalnie i gospodarczo, a nadto, tworząc z nami duże i po-

tężne państwo, mieć zabezpieczenie przed atakami Eurazji. Dawniej były to hordy tatarskie, niszczące te ziemie, dziś mogą to być inne plemiona, ale w każdym razie od wieków Wschód był i jest groźnym sfinksem. Zabezpieczyć się przed nim jest pierwszym obowiązkiem każdego narodu, który z nim sąsiaduje.

Józef K. Paygert.

PANEUROPA A ZAGADNIENIE GRANIC POLSKO-NIEMIECKICH.

Kiedy po wojnie światowej wyniszczona Europa utraciła dominujące stanowisko na globie, a kosztem jej potężnieć zaczęły inne środowiska ludzkie, kiedy centralne zagadnienia polityki światowej przesunęły się za dalekie oceany, pozostawiając swemu losowi zwaśnione ludy Europy — wówczas rozwielmożniły się na starym kontynencie schyłkowe nastroje pesymizmu, usprawiedliwionego niestety dotychczas dalszym rozwojem wypadków. Zwłaszcza w pobitych Niemczech powstała w owym czasie cała literatura, głosząca, że znaleźliśmy się u kresu naszej cywilizacji, tak, że kultura Zachodu zdąża do nieuchronnej zagłady.

Na ponurem tle tych głosów rozpaczy odezwał się jednak w owym czasie jasny, pełen otuchy głos człowieka, który, sam z matki Japonki urodzony i nawpół tylko europejczyk, z pewnej perspektywy patrzeć potrafił na kotłowisko spraw powojennych. Spostrzegł on, że europejska rasa biała przedstawia, jako całość, tak pod względem liczebności, walorów kulturalnych, sił intelektualnych i materjalnych, jak i pod względem energji, wszelkie dane do dalszego świetnego rozwoju i odzyskania utraconego chwilowo stanowiska wśród wielkiej rodziny ras ludzkich.

Stwierdził jednak, że koniecznym warunkiem osiągnięcia tego rozwoju być musi solidarna współpraca europejskich narodów. Począł więc nawoływać do tej współpracy, począł kreślić drogę do zgody i wskazywać z jednej strony na świetne perspektywy w razie jej osiągnięcia, a równocześnie na całą grozę położenia, jeżeli porozumienie osiągnąć się nie da.

Hr. Coudenhove - Calergi sformułował swój apel w nastroju, pełnym wiary w zwycięstwo rozsądku i poświęcił swoją pracę „Paneuropa“ młodej generacji europejskiej, wskazując kierunek drogi i szemat prac wstępnych, które obrać należy dla osiągnięcia celu.

W badaniach tych musiał oczywiście stwierdzić, że najtrudniejszym problematem europejskiej zgody jest kwestja granic międzypaństwowych.

Wszelkie granice stanowią potężne zapory dla naturalnej dynamiki narodów, dążących do rozwoju i ekspansji. Każdy przedstawić może tysiączne argumenty historyczne, etnograficzne i gospodarcze dla poparcia swoich roszczeń do zmiany istniejącego stanu. A w dodatku wszystkie narody naszego kontynentu zamieszkują u swoich kresów tereny, w ten sposób etnograficznie mieszane, że każda linja graniczna pozostawić musi pewne mniejszości w obrębie państw sąsiednich. Niema więc granic bezwzględnie sprawiedliwych. Są właściwie tylko takie, do których ludzie mniej albo więcej przywykli.

Granice powojenne powstały na podstawie faktu dokonanego. Urodziły się w krwawych bojach, a nadzieje na ich zmianę znowu ziszczone mogą zostać tylko wśród pożogi wojennej. Ponieważ tej przedewszystkiem hr. Coudenhove uniknąć pragnął, ponieważ przewidywał w niej dopiero pewność ruiny zachodniej kultury, więc wyciągnął w programowem swem dziele jedyną konsekwencję z tych przesłanek i stanął na stanowisku:

N i e   t y k a ć   g r a n i c!

Zapragnął, by naturalny pęd rozwojowy narodów znalazł swe ujście nie, jak u pierwotniaków, w dążności do rozprzestrzeniania się w kierunku poziomym, ale, jak u dębów, we wzroście ku górze. Zapragnął natomiast, by państwa europejskie wiązały się stopniowo coraz gęstszą siecią traktatów sojuszniczych, arbitrażowych, kulturalnych, gospodarczych, prawnych i t. p., tak, by przy zachowaniu

suwerenności w obrębie swoich granic, same spowodowały, by granice te coraz mniej odczuwać się dawały. Pragnął, by granice międzypaństwowe nabierały z czasem coraz bardziej znaczenia jakichś linji demarkacyjnych pomiędzy pojedyńczemi jednostkami administracyjnemi i stały się kiedyś czemś podobnem do granic powiatów na terenie jednego i tego samego państwa.

„Il ne faut pas abolir, il faut abaisser les frontières“.

Naturalną była w owej chwili w Polsce radość z nowoodzyskanej niepodległości, zrozumiałą niechęć do jakichkolwiek nowych związań. A jednak to stanowisko hr. Coudenhove, domagające się utrzymania, a nawet wzmocnienia terytorjalnego status quo, przeważyło u wielu szalę wahań i pozyskało mu wśród nas licznych zwolenników. Bo przecież — pomyślał niejeden — kultura Zachodu jest naszą kulturą, wszak przecież rozkwit lub upadek tej Europy jest naszym rozkwitem lub upadkiem, wszak broniliśmy przez wieki tej starej Europy przed nawałą Tatarów, Turków, bolszewików. Broniliśmy przeważnie osamotnieni, własnym tylko krwawym wysiłkiem i wychodziliśmy okaleczeni i zubożali z tych bojów. W przyszłości może ta Europa przyjdzie nam w takich chwilach z pomocą. Bo przecież nasza wschodnia granica będzie i jej granicą. W założeniu więc, że taka europejska organizacja utrwalić miałaby nasze bezpieczeństwo, wielu odrzucało liczne zastrzeżenia i czuło gotowość do współpracy przy budowie nowego gmachu.

Tymczasem myśl paneuropejska poczyniła znaczne postępy. Zżółkniałe plany dawnych myślicieli przyoblekły nową szatę bojową w gabinecie młodego uczonego i wyleciały w świat, by walczyć o swoją realizację. Zrazu skrystalizowały się w wielkiej organizacji prywatnej, zwanej Unją Paneuropejską, działały propagandą literatury i żywego słowa. Następnie trafił już hr. Coudenhove do szeregu pierwszorzędnych mężów stanu i zdołał pozyskać ich dla swej idei. Sprawa paneuropejska wyszła z dziedziny

utopijnych rojeń i wraz z wnioskiem p. Brianda na ostatniej sesji Ligi Narodów stanęła w rzędzie najdonioślejszych zagadnień polityki aktualnej.

Dziś do tej kwestji każdy musi się jakoś ustosunkować.

I — oto widzimy, że pomimo strasznego w chwili obecnej naprężenia, grożącego jakgdyby wybuchem najgwałtowniejszych konfliktów, wszystkie niemal rządy europejskie oświadczyły teoretycznie swoje zainteresowanie tym projektem w duchu pozytywnym.

Poczyniły jednak przy tej sposobności szereg doniosłych zastrzeżeń, które dzielą je na dwie wyraźne grupy. Państwa, zainteresowane w utrzymaniu istniejącego stanu rzeczy, chcą mieć w przyszłej Paneuropie nowego gwaranta swego stanu posiadania. Państwa, dążące do zmian terytorjalnych, pragną w niej znaleść czynnik, ułatwiający realizację takich dążeń.

Jakież stanowisko zajmuje wobec tej rozbieżności sam hr. Coudenhove?

Zdawałoby się, że idąc konsekwentnie po linji programowego swego dzieła, powinien stanąć jasno i wyraźnie na stanowisku antyrewizjonistycznem. Tymczasem obserwujemy w nim ze zdumieniem ewolucję odmienną, idącą w kierunku, który zmusza nas do coraz większej rezerwy.

Trzy lata temu, na samą Gwiazdkę, ukazał się w prasie artykuł hr. Coudenhove, wymieniający zapalne punkty Europy i proponujący środki lecznicze.

O polskiem Pomorzu pisze on tam, że Polska odczuwa je jak gardło, bez którego nie mogłaby oddychać, Niemcy zaś odczuwają je jak nóż w swem żywem ciele. I radzi zupełnie niespodziewanie, by Polska dobrowolnie zrzekła się swego gardła, a wzamian za to otrzymała dostęp do morza przez Litwę oraz gwarancję militarną Niemiec dla swoich granic wschodnich.

Niema chyba Polaka, dla któregoby taki projekt zupełnego uzależnienia się od Niemiec i przyjęcia ich protektoratu nadawał się do dyskusji. Hrabiemu Coudenhove zależało

widocznie w danej chwili bardziej na efekcie propagandowym w Niemczech, niż na wrażeniu, jakie wywoła w Polsce. To też prezes polskiej sekcji Unji Paneuropejskiej, p. Aleksander Lednicki, odpowiedział natychmiast w miesięczniku „Paneuropa“, odpierając tę sugestję i podkreślając nasze niewzruszone stanowisko. Niezależnie od tego, autor niniejszego artykułu przesłał do hr. Coudenhove obszerny list z wywodem naszych praw do Pomorza. Podniósł, jak to dopiero w kilka lat po pokoju wersalskim rozpoczęła się w Niemczech sztuczna agitacja, mająca stworzyć uczucie „noża w żywem ciele“, a jak doprawdy brak nam byłoby oddechu bez tego kraju; jak w r. 1920 bylibyśmy przegrali wojnę z bolszewikami, jak w r. 1926 nie bylibyśmy zdołali wyeksportować naszego węgla do Anglji.

Chociaż jesteśmy w tej sprawie stroną, a nie sędzią, to jednak autor starał się dojść do objektywnego sądu w imię europejskiej współpracy. I zapytał: Co jest ważniejszem, czy połączenie dwumiljonowej kolonji z krajem macierzystym, kiedy kolonja ta posiada z nią także połączenie morskie, czy też połączenie trzydziestomiljonowego państwa z całym światem, z którym żadnego innego połączenia morskiego nie posiada? Następnie zaś przedstawił, że polskie Pomorze nie stanowi żadnej zapory dla Niemiec w czasie pokoju, a jest tylko przeszkodą strategiczną w razie kooperacji wojennej Niemiec z Rosją sowiecką, t. j. działa hamująco na wypadek ich antyeuropejskiego wystąpienia.

Wszelkie objektywne względy współpracy europejskiej, opartej na poszanowaniu słuszności i prawa, a nie tylko „martwej litery traktatów“, przemawiają za tezą polską. Przemawia też za nią historja, geografja, etnografja, ekonomja, polityka.

Za tezą niemiecką przemawia ze stanowiska Europy tylko groźba: „Tego chcemy, dajcie nam, bo inaczej my nie damy spokoju!“.

Hr. Coudenhove odpowiedział na to, że projekt jego

był pomyślanym tylko jako podstawa do dyskusji i do tej dyskusji zapraszał.

Sam tymczasem szedł dalej w nowym kierunku. Coraz częściej przynosiło czasopismo „Paneuropa“ twierdzenia o krzywdzie, Niemcom wyrządzonej i zwroty takie, jak np. „nieznośne rumowiska traktatów pokojowych“ i t. p. Ostatni numer nosi tytuł „Revision“ i domaga się zmian terytorjalnych oraz gospodarczych, jako postulatu etycznego.

Przyznać trzeba, że odkłada on myśl o rewizji na dość odległą metę. Żąda przedewszystkiem rozbrojenia moralnego i zgodnej współpracy w warunkach obecnych, twierdząc, że w tej dopiero atmosferze zaistnieć może nastrój, potrzebny dla rewizji rzeczywiście pokojowej.

Niewiadomo co jest w tych wywodach istotnem. Czy moralne poparcie postulatów rewizyjnych, czy też uspakajanie krnąbrnego dziecka według recepty: „Bądź tylko grzeczny, a jakoś to będzie!“.

Jesteśmy głęboko przekonani, że obecna granica polsko-niemiecka daje nam tylko minimum naszych konieczności życiowych, a ze stanowiska Europy zostawia nam tylko minimum tego, co jest niezbędnem, abyśmy pozostawali pełnowartościowym jej członem. Myśl o ukróceniu naszych praw musimy odrzucić tak w chwili obecnej, jak i w najdalszej przyszłości.

Stanowisko hrabiego Coudenhove - Calergi, prezesa Unji Paneuropejskiej, budzi poważne zastrzeżenia nawet u tych Polaków, którzy należeli zrazu do gorących jego zwolenników.

Z chwilą jednak, gdy ruch paneuropejski stał się konkretnem zagadnieniem politycznem, głos prezesa Unji zachował wprawdzie doniosłość propagandową, ale przestał być decydującym. Pragnęlibyśmy przekonać go i pozyskać dla naszej sprawy. Ale donioślejszem jeszcze jest stanowisko europejskich rządów i gabinetów, w których sprawa obecnie się waży.

Nasze rządy objawiły od szeregu lat gorącą chęć współpracy przy budowie paneuropejskiego gmachu. Tak hr. Skrzyński, jak i p. min. Zaleski dawali temu niejednokrotnie wyraz. Społeczeństwo pragnie europejskiej współpracy. Stawia jednak warunek skromny, ale nieodzowny:

Jeżeli Europa chce naszej współpracy, to żądamy od niej przynajmniej absolutnego bezpieczeństwa naszej granicy zachodniej.

Europa ma głos.

Dr. Artur Lilien - Brzozdowiecki.

„BUNT INTELIGENCJI".

Proszę spojrzeć krytycznem okiem na załączony obrazek. Ordynarna, tęga dziewka, porzuciwszy przed chwilą widocznie widły, któremi rzucała (w najlepszym razie) snopy na stertę, miota się w jakichś karczemno-błazeńskich podskokach, z bezczelnym wyrazem przymrużonych oczu, z rozwianą ponad grube kolana spódnicą i waląc w bęben pałką, wzywa wszystkie sfery oficjalne i gospodarcze Europy do przybycia na Targi Wschodnie we Lwowie.

Oto symbol i kwintesencja rozwydrzonej, rozchamionej wyobraźni artystycznej i kultury XX w. w wolnej i niepodległej Rzeczypospolitej polskiej! I taki to plakat uznali nasi aranżerowie Targów Wschodnich jako szczególnie zachęcający patrjotów i ludzi interesu do tłumnego zwiedzania pięknej i pożytecznej imprezy Targów! A artyści, wyznawcy „proletarjackich dreszczów" tegoż XX wieku w niepodległej Polsce, wymalowali im takiego wstrętnego bohomaza, ziejącego prostactwem w każdym calu, jako szczególną atrakcję dla kraju i zagranicy!

Kto widział plakaty bolszewickie — malowane notabene z daleko większym talentem — wyśmiewające burżuazję, a gloryfikujące obdarty proletarjat, ten zrozumie, skąd płynie „prąd artystyczny", płodzący podobne bohomazy, w których pornografja mięsa i jaskrawa czerwień łachmanów pierwszą oczywiście grają rolę. Tylko, że z bolszewickich wizerunków zwycięskiego proletarjusza, dzierżącego młot lub topór w żylastej dłoni, bije przynajmniej potęga. A co bije z ordynarnej, rozszalałej dziewki, wzywającej bębnem kupców ze wszystkich stron świata do robienia interesów w Lwim Grodzie?



JUBILEUSZOWE X MIĘDZYNARODOWE

TARGI WSCHODNIE

LWÓW, 2-16 WRZEŚNIA 1930

INFORM: TARGI WSCHODNIE, LWÓW, JAGIELLOŃSKA 1.

Wydaje nam się, że gród ten dość chlubne ma karty w historji, choćby niedawnej, aby go w ten sposób proletaryzować, poniewierać i bezcześcić. A ważna impreza Targów Wschodnich, jako jeden z najważniejszych członów budowanego przez rząd i naród doniosłego szlaku handlowego Bałtyk — Morze Czarne, zasługuje z pewnością na inną reklamę, na inny symbol i zachętę od załączonego plakatu!

Gdyby ktoś, wprawny w sztuce dedukcji, a nieznający całkiem naszych stosunków, ujrzał tylko ów plakat, to mógłby odrazu wyciągnąć logiczne i słuszne wnioski o obecnym poziomie polskiej mentalności i kultury. Wprawdzie kultura ta dźwiga się tu i ówdzie do konserwowania (przepraszam za wyrażenie!) pewnych starych zabytków lub przedmiotów muzealnych (Wawel i jakieś tam, dziś już „niemodne" Matejkowskie obrazy i t. p.), aby zaimponować proletarjuszom innych krajów i wykazać turystom zagranicznym, że „i Polska także ma jakąś przeszłość". Ale ilekroć chodzi o nową jakąś koncepcję, o oryginalny wytwór „nowoczesnego genjuszu" narodu, to na nic innego — w gruncie rzeczy — nie jesteśmy w stanie się zdobyć, jak tylko na niezdarne i osłabione naśladownictwo geszeftciarskiego amerykanizmu, albo ordynarnych ideałów proletarjackich wschodniego pochodzenia.

Czyż żaden z polskich artystów obecnej doby nie był w stanie zdobyć się na inną kreację symbolu dziewicy polskiej, apelującej do zwiedzenia Targów lwowskich? Czyż rozszalała, rozmamana dziewka ma być symbolem Polonji lub Leopolji?!

Wszak nawet stereotypowe postacie żeńskie, figurujące na plakatach kremu Elida lub maszyny do pisania Remington, wabią nabywców swym szykiem, elegancją postaci i stroju oraz kobiecym urokiem. Każdy, najbardziej nawet materjalistycznie usposobiony businessman przyzna, że nie jest to sprawa bez znaczenia. „Das ewig Weibliche" pociąga ludzi nawet w suchej sferze interesów handlowych!

Ale twórcy „nowoczesnej polskiej kultury i sztuki" są innego zdania. Dla nich symbolem Polonji jest widocznie dziewka z karczmy!

Można w tworzeniu symboli artystycznych sięgać i do prostego ludu, nawet do zrewoltowanego ludu. Oto na ziemi alzackiej stoi słynny posąg z napisem „Quand même!" (Mimo wszystko!), przedstawiający dziewczynę w alzackim stroju ludowym, idącą naprzód z wzniesionym do góry trójkolorowym sztandarem. A w innem miejscu wspomina rewolucję francuską posąg młodej markietanki, bijącej w bęben z żołnierskiem zacięciem.

Jakżeż inne wrażenie robią na widza te szlachetne postacie, aczkolwiek z typów ludowych stworzone, w porównaniu z lwowskim plakatem! Nie trzeba żadnych bliższych informacji o stanie obecnej polskiej psychiki na wszystkich polach — politycznem, społecznem, gospodarczem, naukowem, literackiem, artystycznem, filozoficznem i towarzyskiem. Wystarczy spojrzeć na dziewoję od Targów Wschodnich, aby wszystko wiedzieć! Nie pamiętam, abym kiedykolwiek coś podobnego widział na jakiejkolwiek reklamie zagranicznej. Chyba na plakatach bolszewickich, ale tam, jak już wspomniałem, jest to bez porównania lepiej i „piękniej" dla oka zrobione.

Przykrem i „nietaktownem" byłoby ze strony autora rozwodzić się bliżej i szerzej nad tym przedmiotem. Zgodzą się jednak ze mną trzeźwi i nie uprzedzeni czytelnicy „Naszej Przyszłości", że dziewka z plakatu nie jest bynajmniej tylko wytworem fantazji jednego artysty. Ona jest rzeczywistością, żyje wśród nas, wdziera się wszędzie ze swą bezczelną twarzą i błazeńsko-chamskimi ruchami i zaczyna w naszem życiu publicznem i prywatnem, w naszej twórczości i mentalności, w naszych chatach i salonach, nie mówiąc już o naszych pracowniach wszelkiego rodzaju, wypierać istotnie — bębnem, wrzaskiem i rubasznymi gestami — dawną, eteryczną, aureolą otoczoną postać Polonji.

My już w naszej kulturze i sztuce nie jesteśmy w stanie skądinąd stworzyć sobie symbolu i drogowskazu, jak tylko z jakiegoś brudnego, wiejskiego, czy przedmiejskiego zaułka. Oto kwintesencja dzisiejszego „zdemokratyzowanego“ ducha czasu i postępu! To nam dała — w najgłębszej istocie rzeczy — i to z nas zrobiła demokracja. Bo wszystko inne, to tylko wiecowe hasła i frazesy, które nigdy się nie ziszczą i, trzeźwo biorąc, nigdy ziścić się nie mogą. Płomienność niedoścignionych ideałów obok ordynarnej, zabłoconej rzeczywistości i nędzy — oto istota doktryny demokratycznej, oto powstała pod jej wpływem proletarjacka kultura w polityce, nauce, sztuce, architekturze, no i — w stosunkach między ludźmi.

Wracając jeszcze do sztuki, przytoczę jeden przykład z życia.

Niedawno pewien poważny autor, wydając na świat nową książkę treści społeczno-politycznej, zamówił u jednego z naszych dość wybitnych artystów rysunek symboliczny na okładkę, w którym miała figurować postać Polonji-dziewicy. Problem zdawałby się łatwy dla każdego wprawnego rysownika czy malarza, rzec można nawet — oklepany. Otóż widziałem sam projekt, jaki ów artysta przedłożył rzeczonemu autorowi i — włosy powstały mi na głowie! Proszę sobie wyobrazić grubą, starą babę-czarownicę, z ponurym a złośliwym wyrazem twarzy, ubraną w zgrzebny worek i jakieś pantofle, mające naśladować niby greckie sandały. Do tego fryzura niby grecka, ale chyba już taka, jaką w epoce upadku Aten nosiły kobiety z półświatka. Łapa (bo trudno powiedzieć: ręka), wyciągnięta groźnie wdal, miała niby wskazywać nam jakieś wzniosłe przeznaczenia, ale w istocie nie chciałbym spotkać się z megerą, któraby do mnie w ten sposób wyciągnęła tłustą, ordynarną łapę.

A obecny przy oglądaniu tego majstersztyku „zdolny artysta“ — a przynajmniej uchodzący za takiego — spoglądał na nas i na swe dzieło z uśmiechem widocznego za-

dowolenia i tryumfu, jakby chciał powiedzieć: Patrzcie laicy, jak to my, nowocześni artyści, pojmujemy symbol prawdziwego piękna, symbol Polski-dziewicy!

Autor książki, która miała być ozdobioną taką personifikacją Polonji, wymówił się od przyjęcia projektu jakimś taktownym, wymijającym frazesem. Ale mnie pasja wzięła i — chociaż bynajmniej nie jestem artystą, ani choćby tylko wprawnym rysownikiem — chwyciwszy za leżący na stole ołówek i ćwiartkę papieru, rzuciłem nań szkic (zapewne nieudolny) symbolicznej polskiej dziewicy, jaką mniejwięcej każdy z nas, przeciętnych ludzi, tworzy sobie momentalnie w wyobraźni, gdy mowa o tym symbolu. Autorowi odrazu bardzo spodobała się moja koncepcja i linja mego szkicu, aczkolwiek oczywiście niefachowe pociągnięta. Artysta natomiast oświadczył z miejsca, że to rzecz wcale niezła, ale „wczorajsza“, a więc już niemodna, bo tak dzisiaj „nikt“ już sobie Polonji nie wyobraża. Wziął jednak mój szkic do ręki i oświadczył, że „zastanowi się nad tą ciekawą sprawą i będzie się starał rozwiązać ten niezmiernie interesujący problem“.

Oczywiście autor książki zrezygnował z nowych prób owego malarza „rozwiązywania tego niezmiernie interesującego problemu“.

Oto drobny, ale wielce charakterystyczny obrazek. Polski artysta nie jest w stanie wyobrazić sobie — nawet w prostym rysunku dekoracyjnym — symbolu Polski inaczej, jak w monstrualnej, ordynarnej postaci, którą powyżej opisałem bez żadnej przesady! Oto typowy, niewyszukany probierz obecnego poziomu „polskiej sztuki narodowej“.

Jej upadek — a raczej wypaczenie — datuje się zresztą wybitnie od lat kilkudziesięciu, równolegle z wypaczeniem treści i formy naszej literatury. Wiem, że obruszy się na mnie wielu czytelników, wielu zwłaszcza t. zw. „pięknoduchów“ nowoczesnego pokroju. Wiem, jak to niebezpiecznie jest iść przeciw prądowi utartej (a może i wy-

tartej?) opinji, którą podziela nawet już każdy przeciętny czytelnik gazet, a więc i wyznawca wszelkich modernistycznych prądów i gustów w literaturze i sztuce. A jednak, mimo to, ośmielam się na zdecydowane twierdzenie, że polski język i smak literacki, polskie malarstwo, rzeźbiarstwo i architektura — weszły w okres typowo chorobliwego wypaczenia od czasów mniejwięcej Wyspiańskiego.

Dawniej bowiem pisano lepiej lub gorzej, malowano i budowano lepiej lub gorzej, zależnie oczywiście od talentu. Ale pisano, malowano i budowano w jakiś sposób naturalny, zrozumiały, że tak powiem: normalny. Na obrazach rysunek staranny, postacie ludzkie i zwierzęce takie, jakie są w rzeczywistości. Portret czy pejzaż był przedewszystkiem dobrze narysowany, był wiernem oddaniem oryginału, co nie przeszkadzało podnoszeniu takiego tworu sztuki na wielkie, wzniosłe wyżyny. Poeci i inni literaci pisali naprawdę po polsku — zdrowym, naturalnym, zrozumiałym dla wszystkich językiem. Jeden tylko Słowacki w niektórych swych utworach trochę przeholował w formie i treści, stając się przez to mniej zrozumiałym, mniej „zdrowym" do czytania i przygotowując grunt dla późniejszego zepsucia smaku. Ale był to wyjątek i to prawdziwie genjalny wyjątek.

Od czasów Wyspiańskiego i całej ówczesnej walki o zmodernizowanie gustu i smaku w różnych kierunkach „nadzwyczajnych", zmienia się gruntownie nasz krajobraz kultury i sztuki. Dziwaczny język i niemniej dziwaczne pomysły malarskie czy architektoniczne zastępować zaczynają dawne proste, wzniosłe, podnoszące duszę utwory. Sfinksowe zagadki, na których opierają coraz bardziej swój „genjusz" pionierzy tych wszystkich nowoczesnych koncepcji i konceptów, znajdują w płytkiej opinji zarówno snobów, jak i społecznych postępowców, gorliwych zwolenników. Im bardziej jakiś twór sztuki jest dziwaczny, niezrozumiały, tajemniczy, im bardziej zasmarowany wykoszlawionem piórem lub niemniej wykoszlawionym pendzlem,

tem bardziej zyskuje poklask i histeryczne zachwyty ze strony nowoczesnej publiczności. Dochodzi do tego, że dzisiaj już jakieś karłowate „genjusze“ krytykują w pień Mickiewicza i Sienkiewicza, jako zacofańców, mamutów, których należy wygnać ze szkół i z literatury. Wieńczy się zaś laurem tych, którzy wysilają się na to, aby dziwacznym stylem, a często i pornografją lub innymi „przymiotami“ modernizmu język polski zniszczyć, a sztukę skarykaturować.

A czy wiesz, Szanowny Czytelniku, w czem leży tu sedno sprawy? Oto w niczem innem, jak jedynie tylko w braku prawdziwego talentu, który usiłuje się pokryć dziwactwem formy lub zagadkowością treści. Zapewniam Cię, że pod tą sztuczną powłoką dziwactwa i tajemniczości, mających niby zasłaniać jakiś tajemniczy posąg z Sais, zieje pustka — nic więcej, jak pustka i wybitny brak talentu.

A jeżeli w tym — nie świecie, bo wyrażenie to zbyt wysokie wobec płaskiej rzeczywistości — ale półświatku literatury i sztuki znajdzie się tu i ówdzie perła zdrowego literackiego lub artystycznego talentu, to można być pewnym, że cała reszta literackiego lub artystycznego ogółu stara się pognębić ją w mierności, jako „zacofańca“, niegodnego „prawdziwej sztuki“.

Wypaczenie to zdrowego gustu i talentu możemy zresztą obserwować wyraźnie na niektórych wybitnych luminarzach sztuki, łączących długą swą działalnością przeszłość z teraźniejszością. Proszę porównać np. dwa znane obrazy Malczewskiego „Śmierć Elenai“, malowane z przerwą parudziesięciu lat. Pierwszy, malowany pod wpływem wielkiej epoki Matejków, Chełmońskich i t. d., jest niezaprzeczenie jedną z największych ozdób naszych galerji narodowych. Wnętrze chaty, zmarła niewiasta i rozpaczająca nad nią postać, oddane są naturalnie, spokojnym, mistrzowskim pendzlem. Obraz podnosi, a niczem oka nie razi. Na późniejszym obrazie, powstałym pod wpływem modernizmu, już kapitalna zmiana. Z pod derki na łożu

wyglądają na pierwszym planie, wprost ku widzowi zwrócone nagie stopy zmarłej — poprostu podeszwy stóp, zakrywające resztę trupa, ułożonego w jakiejś pseudo-correggiowskiej perspektywie, psując widzowi apetyt, zwłaszcza, jeżeli ogląda obraz przypadkiem przed obiadem.

I są ludzie, którzy śmią twierdzić, że ten modernistyczny obraz więcej im się podoba od pierwszego, że w nim więcej talentu. Tak im widocznie imponują bose podeszwy trupa!

A przecież ewolucja wielkiego talentu Malczewskiego w kierunku „nadzwyczajności“ modernizmu jest jeszcze bardzo łagodna i umiarkowana w porównaniu do tego, co się dzisiaj powszechnie dzieje. Proszę tylko porównać w jakiejkolwiekbądź galerji dwa wiszące obok siebie portrety ojca i syna, a więc malowane z różnicą kilkudziesięciu lat, a kolosalny upadek rysunku, farby i talentu odrazu się ukaże.

Tak — i inaczej nawet być nie może, skoro sztuka i literatura są zawsze i wszędzie najwierniejszem odbiciem mentalności społeczeństwa. A skoro nie da się zaprzeczyć, że — mimo cudownego odzyskania niepodległości — mentalność nasza i naszego, goniącego za nadzwyczajnościami i efektami świata literacko-artystycznego nie odpowiada bynajmniej doniosłej epoce dziejowej, ale dostosowuje się wiernie do rozwichrzonej demagogji politycznej i doktryny proletaryzacji, nic więc dziwnego, że z pod „wybitnych“ piór i pendzli wychodzą wszelakie cudactwa i miernoty, oczywiście na chwałę niwelującej wyższą kulturę demokracji. Bo i w sztuce radykalizm demokratyczny jest przyczyną, a skutkiem — bohomazy!

Ale raz nareszcie powinna zbuntować się przeciw takiej demoralizacji sztuki i smaku opinja tych przynajmniej sfer, które mają pretensję do nazwy „inteligencji“. Zerwać muszą krępujące więzy nowoczesnej mody i proletaryzacji literatury i sztuki i nauczyć się patrzeć trzeźwo na płody pendzla, pióra i dłuta. Muszą sąd swój naprostować zdro-

wą krytyką według kategorji tego, co piękne lub brzydkie, nie zaś według tego, co dawne lub modne. Nazbyt ogłupiają nas miernoty, zastępujące konwulsyjnie pustkę mózgową dziwadłami. Liczą na upadek dobrego smaku inteligencji pod wpływem wojny, kryzysu i dorobkiewiczostwa. Trzeba się ocknąć i pokazać tym niszczycielom polskiego języka, sztuki i zdrowego sensu, że się mylą kapitalnie. Trzeba strącić różne przedwojenne i powojenne cudaczne wielkości z piedestału, które imponują może bezkrytycznej opinji gawiedzi, ale nie znają w gruncie rzeczy ani stylu, ani rysunku. Dlatego — jakkolwiek paradoksalnem wydać się to może — nowoczesna nasza literatura i sztuka powinna przejść najpierw przeszkolenie, wypracowując szablonowe zadania stylistyczne i rysunkowe, aż do osiągnięcia odpowiedniej naturalności i precyzji, poczem dopiero można pozwolić sobie na ekspansję talentu — o ile go się posiada. A już wprost brutalnie zmieść trzeba z powierzchni polskiej ziemi wszystko, co trąci futuryzmem, kubizmem i dadaizmem, jako symptomatami postępowego paraliżu nietylko sztuki, ale i ogólnej kultury społeczeństwa. Niechże taki mistrz, nad którym unoszą się „znawcy" nowoczesnych prądów i dreszczów, narysuje mi choćby zwykłą krowę na pastwisku — ale jak się należy, porządnie, wyraźnie, jak ją Bóg stworzył, bez żadnych cudacznych konceptów! Proszę go tylko wziąć na egzamin, a ręczę, że nie potrafi, wymawiając się, że to „przestarzałe"!

Zaiste, system bardzo wygodny! Bo gdy ktoś nie zna rysunku i ma rękę wypaczoną dziwadłami, to najlepszy sposób nasmarować poczciwą jałówkę kilku fantastycznemi plamami, które mają niby wywoływać w duszy widza jakieś nadzwyczajne uczucia, a w gruncie rzeczy pokrywają tylko proste nieuctwo malarza. I bezkrytyczna publika płaciła (bo dziś już jej na to nie stać) za takie malowanki bajońskie sumy, za które — w normalnych warunkach — należałoby się „mistrzom" ze trzy kubły zimnej wody na głowę i porządna porcja batów.

Albo rozczytuje się publika, zwłaszcza żeńska, z zachwytem w różnych premjowanych i niepremjowanych dziełach naszych „znanych i cenionych", które na obszarze trzystu stronic i więcej skonstruowane są jednym ciągiem z takich np. miłych zwrotów:

„Wszedłszy do pokoju miażdżył ją żółtemi białkami wypukłych oczu".

No, rozumiem, że w szewskiej pasji można zmiażdżyć pięścią nos autorowi takiego stylu, ale jak można miażdżyć kogoś żółtemi białkami wypukłych oczu, tego już mój prosty, niezepsuty modernizmem umysł nie jest w stanie zrozumieć! Wybaczę już nawet szerokiej publice „inteligentnej", że rozkoszuje się romansidłami sensacyjnemi lub pornograficzno-salonowemi, które za dawnych dobrych czasów czytywały tylko kucharki — i to niższego rzędu. Wyrozumiewam to, jako następstwo wojny (wszystko złe tłomaczy się dzisiaj przecież „zawieruchą wojenną") i jako świetny interes różnych instytucji wydawniczych, których kierownicy przyjmują swą klijentelę z miną conajmniej prezesów akademji umiejętności. Ale nie mogę pogodzić się z upadkiem i rozwydrzeniem smaku poważnych sfer społeczeństwa, które podnoszą do panteonu literatury polskiej „mistrzów", miażdżących jakąś panią w pokoju żółtemi białkami wypukłych oczu! Nie pojmuje też mój prosty umysł, dlaczego w tym panteonie ma spoczywać np. pisarz, który w cichym, prozaicznym dworze ziemiańskim wsadza na konia jakiegoś młodziana, który przypatrzył się poprzednio gwałceniu kobiet przez bolszewików na Kaukazie i pędzi go po nocy przez różne wiejskie wertepy, każąc mu w tej pozycji i warunkach rozstrzygać filozoficzno-psychologiczne zagadnienie, czy ma się starać o rękę mężatki z sąsiedniego dworu?! Niech mnie....... jeżeli rozumiem, gdzie tu genjusz literacki, otwierający wrota do panteonu! Sytuację ratuje chyba tylko to, że autor każe — na wszelki wypadek — wypić owemu młodzianowi z pod Kaukazu, przed owym szalonym filozoficzno-psychologicznym galo-

pem po wertepach, kilka butelek szampana, których napróżna wzdraga mu się przynieść z piwnicy stary, po ojcowsku przemawiający kamerdyner. Bo przez to sytuacja psychiczna młodziana staje się przynajmniej po ludzku zrozumiała. Oczywiście, tylko po kilku butelkach szampitra można skakać na siodło i pędzić na złamanie karku po nocy, aby wyklarować sobie należycie typowe zagadnienie nowoczesnej psychiki polskiej: czy żenić się lub nie żenić z mężatką?!

Jeżeli nadto uwzględnić moralny wpływ takiego dzieła literatury na dorastające obecnie pokolenia, w porównaniu np. z „zaśniedziałym, militarystycznym" wpływem takiego Mickiewicza czy Sienkiewicza, czy nawet „Pożogi" pani Kossak-Szczuckiej, którzy „oczywiście deprawują" społeczeństwo jakimiś patrjotyczno-rycerskimi ideałami i mrzonkami — to dopiero uzdrawiający genjusz owego podochoconego filozofa na koniu, walczącego ze sobą o mężatkę, zajaśnieje nam w całej pełni!!

A poezja? Najmniejszej nie ulega wątpliwości, że to, czem dzisiaj jesteśmy jako Polacy-patrjoci, zawdzięczamy naszej wielkiej poezji popowstaniowej. Ogół nasz niedość, albo wcale nie zdaje sobie sprawy, że bez penetracyjnego wpływu wielu wybitnych utworów poetyckich z tej epoki, a zwłaszcza bez Pana Tadeusza, nie bylibyśmy w chwili wybuchu wojny światowej narodem dojrzałym i gotowym do odzyskania niepodległości, gdyż długoletni wpływ rządów i kultur zaborczych byłby w znacznej części zmienił nas na prostych „zjadaczy chleba".

Ale wszystkie te wielkie utwory, które zbudowały nowoczesną Polskę w umysłach, zanim ona de facto powstała, miały — z bardzo nielicznymi wyjątkami — jedną zasadniczą cechę: były pisane w sposób jasny i prosty, niewyszukanym, a jednak wzorowym polskim językiem. I dlatego właśnie, pomijając już prawdziwy genjusz twórców, działały kojąco, przemawiały do duszy i serca, dźwigając naród z prostracji i upadku. Na wszystkich nich błysz-

czało niewypisane, ale niemniej wyraźne: Sursum corda! Co więcej, jeśli chodzi o styl i gramatykę, to one właśnie, łącznie z wielkiemi dziełami prozy, wykształciły nowoczesny język polski.

A później? a obecnie? Jeżeli gdzie, to w najnowocześniejszej polskiej poezji od lat kilkudziesięciu widocznem jest aż zanadto pokrywanie braku twórczej koncepcji i talentu różnemi dziwadłami formy i treści. Rozpoczął ten korowód widocznego nonsensu Wyspiański, zresztą poeta, wykazujący jeszcze w niektórych koncepcjach przebłyski genjuszu (coprawda chorobliwie wypaczonego genjuszu), dając zły przykład całej plejadzie daleko mniej zdolnych woltyżerów na Pegazie, jak to można język i sens karykaturować dziwactwami. Słusznie też wyśmiewał swego czasu jego „Wyzwolenie" pewien anonimowy wiersz w Krakowie:

Wchodzi masek dwadzieścia i dwie,
Czemu aż tyle, djabeł wie?

No i te maski gadają i gadają, a w środku sceny biedny Konrad, zapożyczony z „Dziadów", szasta się między jedną a drugą, nie rozumiejąc ich pityjskich uwag, podobnie, jak i słuchacz na widowni. Ale biada było wystąpić wówczas w obronie zdrowego sensu w poezji. Tłuszcza „pięknoduchów" byłaby poszarpała na sztuki takiego zacofańca!

Ale Wyspiański, jakkolwiek kpił sobie nieraz z sensu, to jednak uznawał przynajmniej jeszcze rym i rytm w wierszowaniu. Dzisiaj postęp przeszedł już do porządku dziennego ponad takimi „przesądami". A więc ani sensu, ani rymu, ani rytmu — oto „najnowszy dreszcz" wyzwolonej z wszelkich burżuazyjnych pęt polskiej poezji proletarjackiej. Aby zaś postęp ten ukoronować i genjusz swój w całej pełni okazać, zrobili protagoniści „niepodległej" poezji polskiej jedno jeszcze, ale tym razem już istotnie rewolucjonizujące odkrycie: Rozpoczynanie każdego wiersza od małej litery!!

Tak, rzeczywiście, na to nie wpadł żaden z największych mistrzów przeszłości. I nic dziwnego. Na tak wielki wynalazek, który bije parę, elektryczność, auta, aeroplany, radjo i gazy trujące, musiały się przecież złożyć całe tysiąclecia. Obecnie sprawa prosta: każdy, kto zaczyna wiersz od małej litery, jest genjalnym.

Że też tak długo trzeba było czekać na to prawdziwe „jajo Kolumba“!

A więc, reasumując kwintesencję naszej postępowej, niepodległej, wyzwolonej, demokratycznej poezji: niema w niej już ani rymu, ani rytmu, ani sensu, ani wielkich liter na początku wierszy!

Jakżeż byliśmy zacofani kilkadziesiąt lat temu, śmiejąc się z zabawnego wierszyka, który ktoś przy jakiejś okazji złożył:

I tu skała i tam skała,
A tu kaczka drała, drała...

Głupie, bo głupie, ale był przynajmniej rym i rytm i od biedy można było wyobrazić sobie dwie skały, a wśród nich drałującą po ziemi kaczkę. A przedewszystkiem, takie wierszydła komponowane były wówczas dla śmiechu. A dzisiaj niezrozumiałe, dadaistyczno-modernistyczne elukubracje, których sensu nawet sam autor nieraz zapewne nie rozumie (chyba po sześciu „większych z kropelkami“!), wieńczone są przez rozmaite, nawzajem politycznie się zwalczające „akademje“. I w tem właśnie głęboka różnica z przeszłością i największe nieszczęście!

A teraz proszę uprzejmie mi wyjaśnić, gdzie, kiedy i czem wpłynął wierszokleta (czy wierszokletka) takiego typu na podniesienie ducha narodowego i kultury? Bo to przecież jego obowiązek i racja bytu. Napróżno szukałbyś śladu jakiegoś dodatniego wpływu współczesnej poezji na mentalność czy kierunek działalności społeczeństwa. Przeciwnie, odnosi się stanowcze wrażenie,

że — z nielicznymi wyjątkami — cała nasza współczesna poezja, beletrystyka i sztuka stoi na służbie powojennego paskarstwa, demagogji i kulturalnego upadku, a zwłaszcza na służbie wywrotowej, radykalnej demokratyzacji, dla której wszystko, co wczorajsze, z zasady musi być głupie, a każdy nonsens dobry, byle nowy.

Zaiste, wielka epoka przełomowa w dziejach ludzkości, epoka wskrzeszenia Polski, nie ma u nas żadnego odpowiednika w literaturze, sztuce i kulturze — nic prawdziwie pięknego i wzniosłego, co dawniej wybijało się nawet wśród mordów i rewolucji, a tylko samo prostactwo i dziwactwa.

Żeby to nam ktoś skomponował w tych czasach choćby taką Marsyljankę, grożącą wprawdzie śmiercią i rewolucją, ale jakże potężną, porywającą w koncepcji, słowach i muzyce!

Mówmy na serjo! Zbuntować się winien zdrowy zmysł estetyczny — nie mówiąc już o moralnym — całej prawdziwej polskiej inteligencji na takie absurda. Nie powinno się kupować takich książek, ani podziwiać takich mistrzów, czy obrazów, czy innych dzieł sproletaryzowanej sztuki, ale dać ich twórcom wyraźnie do zrozumienia, żeby szukali szczęścia gdzieindziej. Nie dajmy kpić ze siebie, ani panoszyć się miernym prestydygitatorom! Chodzi o obronę polskiego języka, zdrowego gustu i smaku, zdrowego, naturalnego sądu między prawdziwem pięknem a brzydotą, między stylem, jako istotnym wyrazem wyższej kultury społeczeństwa a tandetą, jako wyrazem tylko nędzy, deprawacji i braku wszelkiego talentu. Chodzi nadto i o coś innego jeszcze.

Oto cały ten artystyczno-demokratyzujący prąd w literaturze i sztuce, który każą nam podziwiać „znawcy“ od lat kilkudziesięciu, a zwłaszcza od ostatnich kilkunastu, przenosi się na wszystkie, bez wyjątku, dziedziny polskiego życia i pracy — od parlamentu do salonu i szkoły. Zwłaszcza na tę ostatnią.

Co się tu dzieje, jak wygląda w praktyce nauka i pedagogja szkolna w wolnej, demokratycznej republice, wyzwolona oczywiście z wszelkich „więzów zaborczych“, to odczuć mogą tylko rodzice, mający dzieci w wieku szkolnym. Nie widać bowiem, aby rozumiał to jakiś fachowy pedagog. A jeśli nawet zdarzy się taki wyjątek, to nie ma głosu i idzie prędko na emeryturę.

Ale jest jeszcze ktoś inny, oprócz rodziców i wyjątkowo rozsądniejszych pedagogów, który cały modernistyczny absurd „niepodległego“ nauczania, proletaryzującego wiedzę i szkołę, doskonale niestety (albo na szczęście!) rozumie: ucząca się młodzież. Młodzież ta — daję tu świadectwo prawdzie — kpi sobie głośno z dzisiejszych dziwactw systemu nauczania, w którym np. w niższych klasach nauka o komórkach i protoplaźmie wyprzedza dobrą znajomość opisową najważniejszych działów ze świata zwierzęcego i roślinnego, gdzie skomplikowane systemy siatek geograficznych wyprzedzają znacznie elementarne wiadomości o najważniejszych krajach i stolicach Europy, gdzie chłopak bierze dwóje za brak pamięci o jakiejś specjalnej roślinie na wyspach malajskich, a programowo nie potrzebuje wiedzieć, nad jaką rzeką leży Paryż lub Londyn; gdzie podręczniki historji nie zawierają żadnych dat w tekście, nawet wytycznych, a dopiero długi rejestr dat w spisie rzeczy na końcu książki, w którym dziecko oczywiście nie może się zorjentować, jakie daty są ważne, a jakie uboczne; gdzie wreszcie poszczególne działy fizyki, chemji i przyrody tak są odwrócone do góry nogami, poprzerywane i wzajemnie poplątane, że nielada trzeba inteligencji oraz rozumnego domowego wykładu ze strony „zaśniedziałych w starym systemie“ rodziców, aby ten pokarm szkolny uczynić strawnym dla dziecka i rozplątać mu gordyjski węzeł nowoczesnego szkolnego wykładu, którego nietylko nie rozumie, ale który także wyśmiewa i lekceważy, krytykując swych nauczycieli i system nauczania właśnie z punktu widzenia „zdrowego rozsądku“. Nad-

zwyczajnego trzeba taktu i wielce karkołomnej djalektyki ze strony rodziców, aby dziecku, a zwłaszcza młodzieńcowi, świadomemu tego modernistycznego bałaganu, wpoić jakiś autorytet dla władzy szkolnej!

Działa tu nietylko demokratyczne, dyletanckie nowatorstwo za wszelką cenę, ale i pewien bardzo gruby materjalny interes. Oto, jak informują mnie wtajemniczeni, całe legjony powołanych czy niepowołanych pedagogów, którym pensja do życia oczywiście nie wystarcza, płodzą coraz to nowsze podręczniki i uzyskawszy — tędy lub owędy — zatwierdzenie ich na dany nowy rok szkolny przez wysokie władze, z wyrzuceniem dawniejszych na makulaturę, robią na tem „kokosowe" interesy, nie mówiąc już o interesach księgarzy.

No, a rodzice, nie zawsze zamożni, muszą drogie te książki kupować, a młodzież ćwiczyć musi swe mózgi na coraz większych dziwadłach. Bo przy tak częstej zmianie podręczników wszelkie zdrowsze koncepcje autorów muszą się wyczerpywać, ustępując miejsca „dreszczom modernistycznym" w literaturze szkolnej.

A wszystko to, w najgłębszej istocie rzeczy, na jedno głównie jest obliczone: proletaryzację wykształcenia. Bo przecież prawy demokrata nie powinien wznosić się ponad przeciętny, mierny poziom wiedzy. Wszak i prawowierny komisarz bolszewicki chełpi się tem, że „nie rozbierajet ni odnoj bukwy"! Do tego stanu, chcąc niechcąc, widocznie zmierzamy.

Zato na innem podnosimy się polu. Systematyczny, planowy i celowy zanik mózgów wynagradza nam demokracja kultem muskułów. Odpowiada to teorji niwelacji społecznej oraz socjalistycznej doktrynie o wyższości pracy i tężyzny fizycznej nad umysłową. Więc olbrzymie sumy, niewspółmierne z naszym budżetem społecznym, idą rok rocznie na wychowanie fizyczne, a cała ambicja kultury i cywilizacji narodowej skoncentrowała się dzisiaj w jednym kierunku: wydać jak największą ilość musku-

larnego mięsa, zawodowych biegaczy, łamaczy nosów i linoskoków. Hasłem narodowem stała się parafraza starego odzewu sokolskiego:

„W zdrowem ciele — zdrowe cielę!"

Oczywiście, nie mam tu na myśli akcji przysposobienia wojskowego, niezbędnej w dzisiejszej epoce „pacyfizmu", „paneuropeizmu" i innych pobożnych sielanek. Ale złość i zniechęcenie do nowoczesnej kultury ogarniają nieraz ludzi, prawdziwie zasłużonych i z poświęceniem dla kraju pracujących, gdy ciężki ich wysiłek, twórczy i zasługujący przynajmniej na ciche uznanie, zupełnie jest przez społeczeństwo lekceważony, a natomiast gazety wypisują całe szpalty z zachwytami o „mistrzach" od kopania piłki lub rozbijania szczęk i nosów w jakiejś Koziej lub Baraniej Wólce. „Chluba Polski — czytamy — pan X. (w zwykłem życiu jakiś podrzędny subjekt lub czeladnik szewski) wygrał po gorącej walce mecz footbalowy w Katowicach, okrywając nową sławą talenty sportowe polskiego narodu". Zdawałoby się logicznie, że trzeba teraz takiego kopacza piłki nagrodzić conajmniej komandorją Polonia Restituta z gwiazdą! Bo przecież o żadnym „wyczynie" ducha, o żadnem poświęceniu i zasłudze nie rozpisują się dzienniki tak, jak o takiem wiekopomnem zwycięstwie pierwszego lepszego smarkacza o tęgich udach a twardej czaszce, do której jakakolwiek większa wiedza lub kultura nie ma oczywiście dostępu.

I tu już faktycznie nastąpić powinien bunt inteligencji — w pełnem tego słowa znaczeniu — i dać wyraźnie do zrozumienia tym wszystkim zawodowym sportowcom, że ich ćwiczenia i zabawy, to owszem — bardzo zdrowe i higjeniczne zajęcie w wolnych od pracy chwilach, ale bezwarunkowo niegodne pompatycznych laurów w gazetach. A pp. redaktorom powinno się również dać do zrozumienia, że absurdem jest robienie bohaterów narodowych ze smarkaczy, którzy nieraz powtarzają klasy za lenistwo, albo biorą pocięglem od majstra za niedbałą robotę, nie

zasługują więc w żadnym razie na entuzjazm tłumów i podbójcze uśmieszki płci pięknej, przyglądającej się ich „wyczynom". Jestto wywrócenie zdrowego rozsądku i społecznego porządku i etyki do góry nogami. A że Polska naprawdę nic na tem nie zyska, to rzecz pewna, jak amen w pacierzu!

Reasumując to wszystko, nie winimy nazbyt tych wszystkich miernot, które — w braku prawdziwego talentu lub chęci do rzetelnej pracy — wysilają się na jakieś „nadzwyczajności" na polu literatury, sztuki, pedagogji lub zawodowego sportu. Ale piętnujemy jak najbardziej stanowczo karygodną bezkrytyczność inteligentniejszego społeczeństwa, które takie rzeczy podziwia. Jakież pokolenia wyróść mogą w państwie, w którem jedno uderzenie pięścią lub kopnięcie nogą więcej przysparza chwały, niż długie lata inteligentnej, owocnej pracy i zasługi? Gdzie lada leń, zamiast zabrać się do jakiejś produktywnej roboty, marnuje czas na jakieś turnieje lub otrzymawszy w podarunku, albo na raty, auto czy łódkę, czy wreszcie sprawiwszy sobie parę mocnych butów, odbywa „podróż po świecie", fetowany wszędzie jako „przedstawiciel narodu polskiego" i wraca potem do Warszawy, oczekiwany na dworcu przez wybitne osobistości, które urządzają mu tryumfalny pochód przez miasto i wyrabiają pochwalne audjencje u różnych dostojników państwowych. A potem najpoważniejsi dziennikarze wypisują o nim dytyramby, a poważni pisarze ofiarują im nawet swe pióra dla spisywania „pamiętników", wobec których ustępuje w oczach „inteligentnej" tłuszczy cała reszta literatury i które rozrywane są w tysiącach egzemplarzy.

Karły, leniuchy, do roboty! Wszystkie wasze „wyczyny" nie warte są ani jednej kropli krwi skromnego żołnierza, poległego gdzieś na Kresach, ani jednej skromnej książki, stanowiącej cegiełkę w rozbudowie gmachu polskiej kultury! A prawdziwa inteligencja, której racją bytu musi być, między innemi, przedewszystkiem pewien zdro-

wy zmysł krytyczny, pewne sprawiedliwe pojęcie piękna i zasługi, powinna ocknąć się stanowczo z proletarjackiej narkozy, z narzuconego jej kultu dziwadeł i sportowego mięsa i oddzielić zdecydowanym gestem kąkol od pszenicy. Tego możemy domagać się od inteligencji, jeśli nią jest naprawdę!

Cóż nam przyjdzie z najuczeńszych ksiąg, pełnych cytat i mądrości, zebranych ze wszystkich stron świata, które żadnego nie mogą wywołać skutku ni wrażenia, bo inteligencja polska pragnie dziwacznych efektów, bohomazów i pokrwawionych nosów. A pragnie tego nie sama z siebie, lecz pod wpływem i komendą proletaryzującej demokracji, w której najgłębszej istocie leży zniszczenie wszelkich wyższych pierwiastków i wyższej kultury na rzecz — szczerze mówiąc — zmechanizowania i „zezwierzęcenia" człowieka. W zrozumieniu tej istoty rzeczy i w nawrocie do prostych, niewyszukanych pojęć piękna i zdrowego rozsądku leży zarazem warunek uzdrowienia tych stosunków.

„Stańczyk".
